POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 14-go grudnia 1940r.*** **Rok II. Nr. 40**

TWARZĄ W TWARZ Z HISTORIĄ

Już trzykrotnie poświęciliśmy wiele miejsca Brygadzie Karpackiej, walczącej na froncie afrykańskim. Dziś w tej samej myśli, w tym samym poczuciu braterskiej jedności przedrukowujemy ten wymowny i piękny artykuł z jednodniówki, wydanej przez żołnierzy Brygady na dzień 15 sierpnia, która dopiero teraz dotarła do naszych rąk.

Red.

Historia przemawia do nas od najdawniejszych czasów głosem żelaza i krwi. Gdziekolwiek człowiek zostawił po sobie ślad życia—zostawił ślad walki. I gdy kartę po karcie, przewracamy księgę dziejów człowieka, snuje się przed nami czerwoną wstęgą krwi—ciężki trud żołnierza.

Rycerskim bywał ten trud, albo rozbójniczym. Miecz torował drogę kulturze, bronił jej—albo niszczył. W nieustannej walce z barbarzyństwem, oczyścił się we własnej krwi i utwierdził na mocnych zasadach moralnych — typ narodów rycerskich w odróżnieniu od typu narodów rozbójniczych lub niewolniczych. Twarde były prawa wiążące duszę i rękę tego, co chciał miecz swój rycerskim zachować. Uczyły go prawdy, że są dobra wyższe ponad życie, korzyść i wygodę—dobra, dla których życie oddać nie jest zasługą lub ofiarą, a prostym, twardym obowiązkiem. Wyrobiła się na tej drodze w ciągu wieków wielka etyka rycerska, uświęcająca miecz wydobyty dla celów i w obronie najwyższych wartości ludzkich.

Wielkie narody, wielkie idee wyrębywały sobie drogę mieczem. Na straży największych zdobyczy i skarbów świata—stał miecz. Poczucie siły, męskości i honoru wynieśliśmy wszyscy z walki, a nie z uległości, złotą legendę rycerską ostrze pisało, a nie gęsie pióro. Z osłoną tego ostrza, narastały we wszystkich narodach wartości moralne i kulturalne, formowały się społeczeństwa, utwierdzały prawa, rozwijała się nauka i sztuka.

Na wzgórzach, gdzie teraz rozciągnęły się namioty naszej Brygady, przed dwoma z górą tysiącami lat, to samo słońce, które dzisiaj załamuje się błyskiem w bagnecie polskiego żołnierza—załamywało się w krótkim mieczu i tarczy rzymskiego legionisty w Castrum romanum V-ej Legii Macedońskiej, stojącej na straży Wielkiego Imperium Rzymskiego.

W tysiąc kilkaset lat później, te same pagórki, które dzisiaj depcze noga polskiego strzelca—deptała zbrojna, okuta w stal stopa Krzyżowca. Zakony Templariuszy i Bożogrobców, stojące na straży Grobu Zbawiciela i najwyższych ideałów świata w symbolu Grobu tego zawartych.

W szeregach Krzyżowców zebrał się kwiat rycerstwa chrześcijańskiego, duma wszystkich wielkich państw katolickich. Dźwięczał w nich i polski miecz, dźwięczała polska mowa. Niejeden rycerz nasz, rzucał dom, rodzinę i dobra doczesne, aby dla obrony dóbr wiecznych iść w niezmiernie daleką na owe czasy podróż, która się mierzyła na lata i na lata od kraju i domu odgradzała wędrowca. Siedemset lat temu polski żołnierz był już tu przed nami i znak nasz wysoko niósł nad tą ziemią.

Jakże dalekim byłeś rzymski legionisto od błękitnego morza i białych winnic Italii, od matki twej, żony i dzieci twoich! Jakże dalekim byłeś bracie Templariuszu, bracie Grobu Świętego, od zamków twoich kamiennych, ukrytych w zieleni dębów, od rzek i łąk Francji, czy Brytanii! Jakże dalekim byłeś polski rycerzu w czasie wypraw krzyżowych, głosem Wiary do Ziemi Świętej przywołany—od naszych łąk, naszych rzek, naszych pól — od białych dworów i zamków polskich!

A jednak trwałeś, na mieczu twoim oparty, z posterunku twego niczym niedający się sprowadzić: w obozach rzymskich, na pustyniach Syrii, w Górach Galii i lasach Germanii, a w tysiąc lat później w zamkach krzyżowych po Ziemi Świętej rozsianych. Najczęściej drobny liczbą, często na posterunku z góry na śmierć skazany i jakże między otaczającymi cię tłumami wroga samotny. Byłeś jednak symbolem, sztandarem Twojego Narodu i Twojej Idei. Nie liczbą, a poczuciem swego obowiązku wielki, budowałeś historię, pisałeś jeszcze jedną kartę żołnierskiej chwały—w przeświadczeniu, że dobra moralne honoru i obowiązku są tworzywem równie realnym, a nierównie wyższym jak pieniądz i siła materialna.

Po ziemi, która kryje prochy legionisty rzymskiego i Rycerza Chrystusowego, chodzisz polski żołnierzu. Jesteś symbolem, sztandarem nieśmiertelnej wielkości Twojej Wiary i Twego Narodu. Tak jak Oni, jak tamci. Wiedz o tym i siłę swoją w tej świadomości utwierdzaj!

I nawet gdyby obok ciebie, uzbrojonego i do zaciętej walki na śmierć i życie przygotowującego się—przeszedł Ten, którego ślad najgłębiej odbił się na tej ziemi, Ten, którego siła jest niezbrojna, a Królestwo jest wieczne i powiedział ci "pokój ludziom dobrej woli" —możesz spokojnie odpowiedzieć—"pokój Panie."

Historii, po której śladach chodzimy, możemy patrzeć prosto w twarz,

— bośmy zawsze byli narodem rycerzy, a nie narodem rozbójników,

— bośmy najwyższe wartości Wiary, Honoru i Ojczyzny, w ciągu całych naszych dziejów, cenili wyżej stokroć, niż życie,

— bośmy długość drogi naszej w historii mierzyli klingą rycerskiego miecza, a nie łokciem kupca,

— bośmy w tysiącletniej historii swojej zawsze mieli oblicze pana, a nie oblicze parweniusza ceniącego wyżej korzyść od honoru,

— bośmy do ogólnego skarbca kultury, nauki, sztuki i postępu bogactwa dali wielkie i niezniszczalne, i bogactw tych we wszystkich narodach kulturalnych nagromadzonych, własną piersią i krwią w ciągu wieków od barbarzyństwa bronili,

— i wreszcie nie znaliśmy w dziejach swych słowa kapitulacja i nawet w niewoli nigdy nie byli niewolnikami.

Święta żołnierza wyznacza się w kalendarzu historii bitwami. W dwadzieścia lat od ostatniej wielkiej, zwycięskiej bitwy naszej, Bóg dał nam honor reprezentowania na dalekim, zagubionym na szerokich szlakach świata posterunku — wielkości Naszego Narodu.

Zbigniew Schröder-Gąsiorowski

Dwa biegunowo przeciwległe światy walczą teraz z sobą. Jeden z nich opiera się na zasadzie Herren Volk,—narodu panów, przeznaczonego do sprawowania władzy nad światem. Dąży on do swego celu, nie przebierając w środkach, stosując wojnę totalną w celu steroryzowania ludności. Drugi świat broni zasad, będących dorobkiem wielu pokoleń, zasad, które uważamy za podstawę naszej cywilizacji, a które mają za cel ostateczny zapewnienie szczęścia i dobrobytu możliwie największej ilości jednostek ludzkich na świecie.

Neutralny Akt, określający stosunek Stanów Zjednoczonych do państw wojujących, pozostawia dostatecznie szerokie pole możliwości niesienia pomocy tym, z którymi łączy Was wspólność usiłowań i poglądów.

Dwukrotnie w dziejach ludzkości, w stosunkowo krótkim okresie ćwierćwiecza, od decyzji Stanów Zjednoczonych zależały losy rozwoju i przyszłość naszej cywilizacji. Dwukrotnie uczyniliście słuszny wybór.

Forma Waszego współdziałanie może być tym razem odmienna, wszakże w treści swej będzie niemniej skuteczna, zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i materialnego.

Wierzajcie mi: nie nienawiść, nie niskie pobudki zemsty, lecz szczere umiłowanie wszystkiego, co jest szlachetne i wartościowe w naturze ludzkiej, umiłowanie mego narodu oraz wszystkich uciśnionych narodów w Europie, moja głęboka troska o losy naszej zagrożonej cywilizacji, skłaniają mnie do tego szczerego podzielenia się z Wami mojemi nadziejami i mojemi obawami. Wszystkie je zawrzeć można w jednym krótkim haśle:

Dopomóżcie Wielkiej Brytanii—ratujcie świat!!

Z orędzia I. J. Paderewskiego do Polonii Amerykańskiej

Rozkaz Naczelnego Wodza

Wojsko polskie sformowane w Wielkiej Brytanii jest małe liczbą. Tym mocniejsze musi być ono duchem i tym wyższa powinna być jego wartość bojowa. Podstawą jego zwartości jest należycie pojęta dyscyplina zbiorowa. Niełatwo o nią w armii organizowanej na obczyźnie i ustrojowo niezdrowej. Tym bardziej, że wielu z pośród nas ma złe pojęcie o dyscyplinie, sądząc, że "braniem za mordę" rozwiązać można najzawilsze problemy. Te przestarzałe i bezduszne metody należy wytępić w wojsku polskim, a następnie przejść do pozytywnej i twórczej w tej dziedzinie pracy.

Pragnę, ażeby wszyscy żołnierze zrozumieli, że dyscyplina wojska polskiego polega na głębokiej znajomości i umiłowaniu jego misji, na pełnym autorytecie moralnym dowódcy, na rozumnie pojętej i zaaprobowanej szczerze karności podkomendnych i na wzajemnym zaufaniu. Opierać się ona powinna na rzetelnym poczuciu obowiązku, które należy wyrabiać u żołnierzy. Swym godnym zachowaniem się na obczyźnie dali oni dowód, że rozumieją swe zadanie.

Zewnętrzne formy dyscypliny żołnierskiej nie mogą jedynie wynikać z przepisów regulaminowych, lecz płynąć powinny z rzetelnego poszanowania przełożonych. To poszanowanie zdobyć sobie musi każdy z nich. Ich stosunek do żołnierzy, jak i do kolegów młodszych nie powinien być poufały—a mimo to serdeczny i koleżeński. Z poczuciem odpowiedzialności, spokojem i opanowaniem—łączyć oni muszą wysokie wymagania służbowe i dbałość o moralne i fizyczne zdrowie podwładnych im żołnierzy. Unikać będą oschłości i zimnego formalizmu w stosunkach codziennych z żołnierzami, wykluczając mechaniczne środki podnoszenia i utrwalania dyscypliny, które w normalnych warunkach były zawodne, a w warunkach wojennych doprowadziłyby do katastrofy.

Wojsko musi być karne. Rozkazy dowódców muszą być wykonywane bezwzględnie, dokładnie ale i rozumnie. Wszyscy żołnierze rywalizować ze sobą powinni w przyswajaniu sobie wiedzy i umiejętności wojskowych, w dążeniu, ażeby tutejsze siły zbrojne Polski stały się kadrą wzorową, która wpłynie decydująco na charakter i wartość wojska odtwarzanego przez nas w kraju.

Nie jest dobrym żołnierzem ten, kto nie dba należycie o powierzoną mu broń i sprzęt bojowy, kto nie dba o zachowanie odporności fizycznej na niebezpieczeństwa i trudy ze służbą żołnierską związane. Nie zasługuje na miano żołnierza ten, kto nie ma poczucia honoru. Szczególnie żołnierz polski, który ma zaszczyt walczyć o Ojczyznę z bronią w ręku ocenia należycie swą przynależność do armii i reprezentować ją będzie zawsze jak najgodniej na zewnątrz.

W boju natomiast nie będzie żołnierzem dobrym ten, od dowódcy począwszy, kto nie wypełni swego obowiązku odważnie, karnie i ze znajomością rzeczy. Przywilej dowódcy polega wtedy na przodowaniu drugim i na sprawnym prowadzeniu podległego mu oddziału do zwycięstwa.

Wojsko polskie wierzy w zwycięstwo bronionej przez siebie sprawy, jak jest pewne odrodzenia wielkiej Polski. Tą wiarą żyje i działa. Nie osłabią jej przejściowe niepowodzenia ani osobiste nieszczęścia. Dla defetystów nie ma miejsca w jego szeregach, muszą być oni przez nas samych tępieni i eliminowani poza społeczność żołnierską. Nie ma też u nas miejsca dla warchołów i warcholstwa. Przykładem dla nas niech będzie naród angielski solidarny i zwarty, oraz jego poszanowanie autorytetu i zasady przewodnictwa, jego dumna determinacja walki, aż do końca bez względu na ofiary i poświęcenia.

Armia polska stać się musi rodziną wojskową, którą stworzymy wspólną harmonijną pracą —wszystkich żołnierzy—oficerów i szeregowych. Sformowana na obczyźnie wypełniła ona dotąd ciążące na niej zadanie. Ażeby je wypełniła i w przyszłości zdobyć się musi na zgodny, karny i wielki wysiłek twórczy będący równie trudnym po stronie przełożonych, jak i po stronie podwładnych. Do takiego wysiłku wzywam Was żołnierze!

Naczelny Wódz
i Minister Spraw Wojskowych

SIKORSKI
Generał Dywizji.

Szkic sytuacyjny nr. 4

BRAVO, ROYAL NAVY!

Flota brytyjska zadała Włochom dwa ciosy: w ataku na Tarent i w starciu na wodach Sardynii. Jeżeli chodzi o uderzenie na Tarent, to chociaż dokonało go lotnictwo, jednakże honor spada na *Royal Navy*: torpedy powietrzne zrzucone na pancerniki i krążowniki włoskie leżące w Tarencie pochodziły z samolotów należących do *Fleet Air Arm*, lotnictwa marynarki wojennej.

Na temat skuteczności lotnictwa działającego z pokładu lotniskowców odbywały się wielkie rozprawy. Na Morzu Śródziemnym broń ta okazała się doskonała. *Fleet Air Arm* którą tak ostro krytykowano, zabrała się znakomicie do rzeczy. Szkody wyrządzone włoskiej flocie są poważne: wnioskować można o tym najlepiej—ze sprawozdania korespondenta rzymskiego "*Frankfurter Ztg.*" dra Kirchera, który przyznaje, iż "jacyś zwariowani ryzykanci zadali cios młodej flocie włoskiej."

Flota włoska postanowiła wyprowadzić się z Tarentu jako punktu nadmiernie narażonego. Kłopot w tym, że przez tę ewakuację flota wojenna Włoch odsłania niebezpiecznie własne linie połączenia z Albanią oraz szlaki transportu ku Libii. W chwili kiedy w Albanii marsz grecki jest co raz skuteczniejszy, tego rodzaju wyprowadzka floty wojennej aż na Sardynię, do bazy Cagliari, nie jest zbyt korzystna dla Włoch. Szanse odcięcia armii włoskiej—nie zapominajmy, że jest to w wielkiej mierze armia ekspedycyjna, która musi polegać na dopływie dostaw i sprzętu—polepszają się wybitnie. Zyskują również Anglicy możliwość szarpania konwojów włoskich idących do Libii. Wyspy Dodekanezu odczuwać będą również co raz bardziej blokadę i kto wie, czy grupa ta nie skapituluje niebawem. Byłby to poważny zysk dla Anglii, usadowionej już na Krecie, wielka ulga dla Turcji, którą bazy włoskie na Dodekanezie niepokoją nie od dzisiaj.

Starcie pod Cagliari dowiodło raz jeszcze, że flota włoska nie ma ochoty walczyć i że naśladuje praktyki marynarki wojennej Kaizera. Ale nie tylko flota włoska unika starcia: cała armia włoska w Albanii udowodniła, że brakuje jej ducha i chęci do wojaczki. Jest to moment, który Anglicy winni wykorzystać najpełniej. Dla każdego jest dzisiaj rzeczą jasną, że Włochy, poddane ustawicznemu biciu z powietrza, morza i na lądzie, nie wytrzymają długo.

Royal Navy ma do spełnienia wielkie zadanie w stosunku do Włoch, ponieważ jest to kraj oblany morzem i dlatego od morza zależny, na morzu "tkliwy" /*vulnerable*/. Opinja angielska czuje to i nalega, ażeby ciosy zadawane Włochom były częste i twarde.

Od energii akcji angielskiej zależy, czy wojna na kontynencie Europy utrzyma się, czy potrafi się ją przenieść dalej /ląd włoski?/ i czy wykorzysta się tę pierwszą od Norwegii szansę walczenia z nieprzyjacielem, który musi pokonać trudności wody i morskiego transportu.

ŻEGLUGA I ESKORTA

Na czoło zagadnień, które Anglia będzie musiała rozwiązać tej zimy, wysuwa się sprawa zabezpieczenia żeglugi. Straty w tonnażu, jakie W. Brytania ponosi w ostatnich czasach na skutek działania niemieckich (a pewnie i włoskich) łodzi podwodnych, są dość poważne. Niedawne przemówienia i debaty w Izbie Gmin wskazują, że rząd nie zamierza ukrywać powagi sytuacji w tym względzie. Sfery miarodajne powiadają otwarcie, że niebezpieczeństwo niemieckich U-Bootów nie zostało opanowane, że bazy, jakie Rzesza uzyskała w Holandii i Francji sprawiają, iż żegluga angielska wystawiona jest dzisiaj na znacznie większe ryzyko, aniżeli w czasie wojny ostatniej.

Jest to wszystko szczera prawda. Przypomnijmy sobie, że w wojnie światowej floty wojenne Anglii i Francji pracowały zgodnie i ściśle, potem przyłączyła się do nich flota włoska (nie mówiąc o tym, że na Dalekim Wschodzie współpracowała flota japońska). Marynarka amerykańska pomagała na schyłku wojny poważnie, biorąc na siebie ciężar eskortowania statków idących do Anglii (częściowo do pół drogi atlantyckiej, potem nawet na całej trasie). Wreszcie bazy irlandzkie znajdowały się w rękach brytyjskich.

W tej wojnie—od zawalenia się Francji—Anglia polega wyłącznie na własnych siłach. Pomoc jakiej użyczają jej sprzymierzeńcy (Polska, Holandia, Belgia, Norwegia, tzw. wolna flota Francji) nie może być oczywiście wielka, jeżeli brać tonnaż jednostek wojennych. Marynarka brytyjska ma do spełnienia zadania olbrzymie.

Nic więc dziwnego, że ogół angielski wita z radością fakt przekazania Anglii 50-ciu destroyerów amerykańskich starszego już typu, i że ze szczególnym zaciekawieniem przyjęto doniesienie, jakoby ambasador angielski w Waszyngtonie Lord Lothian przedstawił po swoim powrocie z Anglii do Ameryki wniosek, by USA dały Anglii 3 pancerniki, 6 krążowników i 100 destroyerów. Jednostki te miałaby Anglia zakupić za gotówkę, wziąć na kredyt czy po prostu "wypożyczyć."

Przed wyjazdem Lorda Lothiana na premier W. Brytanii powiedział w Izbie Gmin słowa prawdy jak to nieposiadanie baz irlandzkich grozi całej angielskiej flance morskiej. Oświadczenie to Irlandia przyjęła kwaśno. De Valera storpedował od razu wnioski angielskie. Irlandia obawia się, że Anglicy nie opuszczą po wojnie tych baz, co jest rozumowaniem niewątpliwie niesłusznym. Dowodzi to tylko, jak poważne są urazy pewnych narodów i jak głęboko tkwią one, nawet w chwili, która pachnie wybitnie niebezpieczeństwem. Nie zapominajmy jednak, że we Francji istniały w czasie wojny światowej obawy, iż Anglicy nie usuną się po wojnie z Calais i Boulogne. Wspomnienia i urazy historii działały tak silnie.

GNIAZDA KORSARZY

Niemcy operują łodziami podwodnymi z rozlicznych baz. Bombardowanie przez RAF takich baz jak den Helder w Holandii, Brestu i Lorient we Francji oraz Kilonii i Bremy w Rzeszy dowodzą, iż Anglia chce wyrządzić szkody zarówno w dokach, gdzie buduje się U-Booty, jak w bazach, które wypuszczają owe łodzie na korsarskie wyprawy.

Na początku wojny Rzesza posiadała podobno niespełna 100 jednostek podwodnych, Italia ponad 100. Pierwsze miejsce co do ilości zajmuje w tym dziale podobno Rosja sowiecka mająca, jak słychać około 160 czy nawet 180 jednostek). Anglia miała jakichś 55 jednostek, Francja pono 40 czy 50. W stosunku do siły Rzeszy był to zatem zasób poważny. Pomimo tego niemieckie U-Booty, tradycyjna broń niemiecka, zyskały szereg sukcesów. W zimie ub.r. akcja niemiecka poczęła słabnąć, na wiosnę wyraźnie spadła. Mówiło się wtedy, że bezpieczeństwo statku w konwoju wyraża się stosunkiem 1 : 500. Był to bardzo wysoki współczynnik, który sprawiał, że żegluga angielska kursowała swobodnie po morzach. Miny magnetyczne zostały opanowane, konwój, który w poprzedniej wojnie złamał grozę U-Bootów, okazał się skuteczny.

Od czasu jednak odpadnięcia floty francuskiej i uzyskania przez Rzeszę daleko na zachód wysuniętych baz (dalszych aniżeli bazy brytyjskie)—niebezpieczeństwo powróciło. Bombowce niemieckie uzyskały olbrzymi front: od Norwegii aż po Biarritz. Wypady bombowców nieprzyjacielskich, zapuszczających się na tzw. "zachodnie pobliże Anglii" (*Western approaches*) w okolicy Irlandii, przyniosły zatopienie kilku poważnych jednostek. Tonnaż angielski topiony przez wroga wynosi przeciętnie 270,000 tonn tygodniowo.

Jest to tempo duże i nic dziwnego, że w pismach angielskich pojawiają się zestawienia obecnego okresu z kwietniem 1917, kiedy to groza U-Bootów zyskała największe nasilenie i kiedy liczono, że co czwarty statek idący do portu angielskiego względnie wychodzący z niego, ulega storpedowaniu.

TRZEBA ZNALEŚĆ ODPOWIEDŹ

Anglia ma luki w jednostkach bojowych szczególnie w destroyerach. Dlatego to nie może posyłać eskort odpowiednio silnych, dlatego to statki handlowe uzbrojone w działa (tzw. *merchant cruiser*) konwojują statki zamiast kontrtorpedowców. Luki te trzeba jak najszybciej uzupełnić. To, że Anglia buduje w swoich stoczniach o 50 procent więcej jednostek, aniżeli przed pół rokiem, jeszcze nie rozwiązuje zagadnienia. Dlatego W. Brytania zamierza stworzyć własne stocznie w USA.

Ale i to jeszcze nie załatwia sprawy. Trzeba stworzyć współdziałanie lotnictwa z flotą wojenną, trzeba więcej bombowców, któreby patrolowały nie tylko brzegi, ale wyszukiwały periskopy U-Bootów daleko w Atlantyku. Trzeba więcej pościgowców, któreby nawiązywały walkę z bombowcami nurkującymi nieprzyjaciela wypadającymi ku "*Western approaches*" Anglii.

Jest to zagadnienie kapitalnej wagi dla państwa takiego, jak W. Brytania, które zależne jest [illegible] wszystkich swoich dostawach [illegible] morza. Anglia wie, jak ważne są te sprawy, skoro zdaje sobie sprawę, że gdyby na wiosnę 1917 nie opanowano grozy niemieckiej, pozycja Anglii stałaby się bardzo niekorzystna.

Anglia, nauczona doświadczeniami, nie zamierza lekceważyć Niemiec. Nawet jeżeli przesadne są niemieckie opowiadania (podawane przez Szwecję), że Rzesza ma w zapasie 200 łodzi podwodnych, albo już zbudowanych albo na ukończeniu, to jednak sądzić należy, że Rzesza uzupełniła już straty poniesione w ciągu roku. Liczono wtedy, że około 45 czy 50 niemieckich U-Bootów posłano na dno. Dzisiaj, niemiecka siła podwodna na Morzu Północnym i Atlantyku, posiłkowana p[illegible] włoskie łodzie podwodne, k[illegible] przemknęły się przez Gibraltar—liczy jakichś 120 jednostek.

Do tego dodać należy korsarzy nawodnych, którzy snują się szlakiem Atlantyckim a nawet podobno pojawili się na Oceanie Indyjskim. Wody w pobliżu Ameryki Płd. są również niebezpieczne.

PRODUKCJA PRZEMYSŁOWA

Drugie zagadnienie jakie Anglia musi rozwiązać tej zimy, to sprawa zabezpieczenia produkcji przemysłowej, szczególnie produkcji wojennej. Bombowce niemieckie nie uderzają od jakiegoś czasu noc w noc na Londyn. Jeżeli nawet nawiedzają stolicę Anglii, to jest to robota, którą w żargonie teatru nazywa się "markowaniem." Główna siła niemieckich uderzeń kieruje się ku ośrodkom przemysłu (Birmingham, Liverpool, Coventry) albo ku portom jak Southampton.

W. Brytania musi zabezpieczyć te ośrodki tak, ażeby szkody wyrządzone przez nieprzyjaciela nie odbijały się na produkcji, przede wszystkim na produkcji samolotowej.

KREDYTY AMERYKAŃSKIE

Ponieważ dla uzyskania równości, a potem przewagi w stosunku do niemieckiej *Luftwaffe* pomoc amerykańska jest konieczna, rzeczą olbrzymiej wagi w najbliższych miesiącach będzie sprawa uzyskania przez Anglię kredytu amerykańskiego. Jak stwierdzają czołowi publicyści angielscy —n.p. J. L. Garvin na łamach "*Observera*" — nie uzyskano jeszcze równości (*parity*) z *Luftwaffe* jeżeli chodzi o liczebność aparatów. Widać z tego, że przewaga lotnicza RAF'u może wystąpić na jaw na wiosnę 1941.

Najbliższe miesiące będą nader ważkie dla rozstrzygnięć tej wojny; kredyt USA stanie się momentem pierwszorzędnej wagi.

Londyn, 30.XI.1940.

Zbigniew Grabowski

Znalazło się ich sześciu . . .

W systemie rządów angielskich istnienie opozycji jest uważane za jeden z kardynalnych warunków. Wyraziło się to w sposób szczególnie jaskrawy, gdy lat temu parę parlament na wniosek rządu uchwalił, że przywódca opozycji parlamentarnej będzie pobierał pensję z funduszów państwowych na równi z ministrami. Pensje wcale niezgorszą, bo 2000 funtów rocznie.

Z chwilą gdy *Labour Party* ("Partia Pracy") wstąpiła do rządu i tym samym przestała być opozycją, oficjalnym przywódcą opozycji został prezes najliczniejszego klubu parlamentarnego, nie zgadzającego się z polityką rządową, p. James Maxton, przywódca I.L.P.-Niezależnej Partii Pracy, partii lewicy socjalistycznej, skrajnie pacyfistycznej. Pan Maxton nie pobiera pensji przywódcy opozycji, nie zażądał jej. Liczebność bowiem tej opozycji dzisiejszej jest tak znikoma, że trudno ją uznać za istotną równowagę partii rządzącej. Opozycja bowiem parlamentarna składa się dzisiaj oprócz pana Maxtona z jeszcze dwóch jego towarzyszy partyjnych pp. Mac Governa i Stephena oraz z jednego komunisty pana Gallachera. Tym nie mniej jednak p. Maxton korzysta z wszystkich innych uprawnień szefa opozycji. I dzięki temu parlament musiał poświęcić cały dzień czwartkowy dyskusji nad wnioskiem pana Maxton'a o natychmiastowe zwołanie konferencji pokojowej.

Pan Mac Govern pierwszy uzasadniał wniosek. Usłyszeliśmy od niego, że wojna obecna jest wojną imperialistyczną, że należy ją zakonczyć jak najprędzej, że trzeba dać Niemcom dostęp do surowców, że nie ma się co spodziewać ani rewolucji w Niemczech, ani zwycięstwa na lądzie. Pan Mac Govern nie pragnie pokoju hitlerowskiego, o nie. Ale myśli, że należy spróbować, czy nie dało by się zawrzeć pięknego pokoju kompromisowego z zapewnieniem wolności ludów.

Oczywiście i socjaliści i konserwatyści i liberałowie z miejsca dali odprawę temu osobliwemu pomysłowi. I nie uratował sytuacji sam pan Maxton, gdy w swojej mowie raz jeszcze zapewnił, że jego partia nie myśli błagać Hitlera o pokój, ale proponuje jedynie, żeby rząd angielski sprobował, czy nie da się jednak pokoju uzyskać i powołał się przytem na. . . . Chamberlaina i jego wyprawę monachijską.

W imieniu rządu przywódca socjalistyczny Attlee dał mu druzgocącą odpowiedź. Nawiązując do wątpliwości interpelantów, czy wojna obecna jest istotnie wojną o demokrację, czy też wojną kapitalistyczną Attlee powiedział: "Pan Maxton widzi dziewicę zagrożoną przez smoka, ale ciągle ma wątpliwości czy ta dziewica jest naprawdę dziewicza i czy ma pośpieszyć jej z pomocą. Każdą walkę pan Maxton nazywa wojną kapitalistyczną albo imperialistyczną a nie prawdziwą wojną o wolność. Mówił nam tu, że pragnie wolności dla Polaków i Żydów. Ale cóż czyni dla tej wolności? Siedzi z boku i przyjmuje stanowisko zupełnej nieodpowiedzialności. Jego nieodpowiedzialność jest częścią jego wdzięku."

Przytoczmy jeszcze dialog między Attleem i Maxtonem.

Attlee: "Czy pan uważa, że pokój należy osiągnąć za każdą cenę, czy też Pan wierzy w wolność i sprawiedliwość społeczną, o której Pan mówi? Czy jest Pan gotów oddać swe życie za nie?"

Maxton: "Tych rzeczy się nie osiąga wojną."

A. "To nie jest odpowiedź. Zaproponował Pan, aby rząd wysunął pewne warunki pokojowe. Czy Pan by poparł te warunki, gdyby Pan je uznał za słuszne?"

M.: "Napewno."

A.: "A gdyby doszło do konferencji i Hitler nie chciał posłuchać tego, co Pan nazywa głosem rozsądku i odrzucił Pańskie idee wolności i sprawiedliwości społecznej, cóż by Pan wtedy zrobił? Czy walczyłby Pan, czy też by się Pan poddał?"

W głosowaniu, które nastąpiło, wniosek pana Maxtona i towarzyszy uzyskał . . . sześć głosów.* Do trzech członków partii Maxtona i jednego komunisty przyłączyło się więc jeszcze dwuch innych posłów. Incydent jest właściwie drobny i bardziej zabawny, niż ważny i poważny. Jeżeli jednak o nim piszę to dla tego, że można z niego wysnuć parę interesujących wniosków.

A więc przede wszystkim, że nikt w Anglii nie ma odwagi proponować zawarcia pokoju za wszelką cenę. Przyczem pamiętajmy, że ta "wszelka cena" bynajmniej nie oznacza, by Wielka Brytania sama musiała coś ustąpić.

Hitler byłby szczęśliwy, gdyby mógł zawrzeć pokój, nie wymagając niczego od Wielkiej Brytanii, a jedynie zatrzymując swe kontynentalne zdobycze. Otóż nawet taki pokój jest absolutnie po za sferą dyskusji, i nawet Maxton z towarzyszami o takim pokoju nie odważyli się mówić.

Powtóre, nawet przy mimo tak ostrożnego postawienia sprawy, Maxton nie znalazł żadnego poparcia. Nawet żądanie, aby rząd angielski zaproponował Hitlerowi warunki sprawiedliwego pokoju z zapewnieniem, że wnioskodawcy nie myślą o poddaniu się dyktatowi hitlerowskiemu, gdyby nie był zgodny ze sprawiedliwością— poparło ledwie sześciu członków parlamentu. To znaczy, że defetyzm jest rzeczywiście zjawiskiem nieistniejącym w Wielkiej Brytanii, że naprawdę całość narodu zdecydowana jest walkę przeprowadzić do końca. Socjalista Griffiths, powiedział: "Stoimy przed wyborem: kapitulacja albo śmierć, a nie wojna lub pokój." A prezez socjalistycznej grupy parlamentarnej, Walker, dodał: "Nie ma nadziei dla demokracji, jeżeli nacjonalsocjalizm nie będzie starty z powierzchni ziemi."

Najważniejsze jednak, jest to, że taka dyskusja w ogóle mogła się odbyć. Były ambasador amerykański w Londynie, Kennedy, podobno oświadczył, że właściwie nie ma o co walczyć, bo demokracja w Wielkiej Brytanii już umarła i faszyzm nadchodzi nieuchronnie. Dyskusja czwartkowa dała na to odpowiedź.

W krajach totalitarnych pan Maxton już by rozpamiętywał w obozie koncentracyjnym, jak nieostrożnie jest mówić o pokoju, albo by już w ogóle nie żył. Nawet w Francji jawna dyskusja tego rodzaju była niemożliwa i Déat, który podpisał odezwę żądającą pokoju, potem się gwałtownie z tego wycofał i zapewniał, że nadużyto jego podpisu, bo się bał konsekwencji. Co nie przeszkodziło, że ten sam Déat razem z innymi po cichu przygotowywał kapitulację Francji.

Tutaj w Londynie wolno głośno mówić co się myśli i parlament z pełną powagą poświęca całe posiedzenie dla dyskusji nad wnioskiem Maxton'a. To jest prawdziwa demokracja.

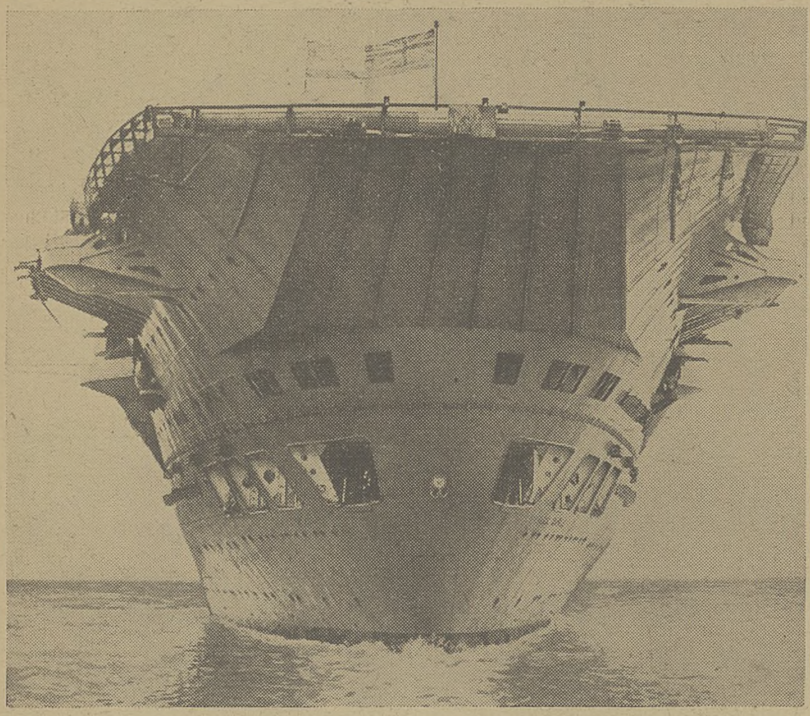
I jednocześnie jest to mądra polityka. Bo właśnie dlatego, że wolno żądać zawarcia pokoju można mieć pewność, że ci wszyscy, co mówią o walce do końca nie mówią o niej dlatego, że się obawiają przykrych konsekwencji, gdyby powiedzieli co innego, ale dlatego, że takie, a nie inne jest ich istotne przekonanie.

A sześć głosów, które Maxton znalazł dla poparcia swego wniosku, stwierdzają, że ta decyzja walki do końca jest istotnie decyzją nie tylko rządu, ale i narodu angielskiego.

XXX

* Wbrew informacjom niektórych dzienników należy liczyć nie cztery ale sześć głosów za wnioskiem Maxtona. Stosownie do zwyczajów parlamentu głosy za i przeciw liczą t. zw. "tellers." W danym wypadku rachmistrzami głosów za wnioskiem byli Mac Govern i Stephen—jego zwolennicy.

Mediterranean Fleet



Lotniskowiec "Ark Royal," który odegrał ważną rolę w ataku na flotę włoską w Taranto i w bitwie morskiej koło Cagliari na Sardynii. Był on wielokrotnie zatopiony przez propagandę niemiecką. W krytyce wojskowej nieraz wysuwano wątpliwości co do tego, czy te ciężkie okręty mogą być przydatne w obecnej wojnie. Dwa ostatnie epizody morskie dowiodły, że lotniskowce działające pod osłoną pancerników i krążowników przedstawiają znaczną wartość bojową

Najczystszą, najbardziej dżentelmeńską, jeżeli tak wyrazić się można, była zawsze wojna na morzu. Najbardziej przypominała ona czasy, gdy dwuch rycerzy, patrząc sobie w oczy, spotykało się konno na otwartym polu i krzyżowało broń. Rozmyślnie używam czasu przeszłego. Z biegiem czasu bowiem, a raczej z nastaniem nowych "idealistycznych" pojęć o rycerskości i honorze zasady walki na morzu uległy również głębokiemu przeistoczeniu.

Istniała pewna kardynalna zasada, na którą ani bieg czasu, ani postęp techniki wpływu nigdy nie miały: bezwzględne dążenie do zniszczenia siły żywej przeciwnika, celem zapewnienia sobie swobody ruchu na szlakach wodnych. Zasada święta, niewzruszalna, głęboko wyryta w umyśle każdego Anglika. Ale Wielki Dyktator orzekł, że zasady zgniłej demokracji brytyjskiej nie mogą mieć zastosowania w Wielkim Faszystowskim Imperium—i całą swoją flotę ukrył w głębi wód terytorialnych.

Przewaga bezwzględna floty brytyjskiej względem nieprzyjaciela nie była równoznaczna z bezwzględną przewagą na każdym poszczególnym odcinku tego olbrzymiego obszaru operacyjnego, jaki stanowią morza i oceany; walka z krążownikami korsarskimi wymaga trzymania w stałym pogotowiu znacznych sił na wszystkich tych odcinkach, walka z okrętami podwodnymi i lotnictwem odciąga również znaczne siły od eskadr bojowych.

Toteż w dniu wypowiedzenia wojny przez Włochy, brytyjska flota śródziemnomorska znalazła się w niezmiernie ciężkim położeniu. Uszczuplona przez najrozmaitsze serwituty, miała ona przed sobą silną i zmodernizowaną flotę włoską oraz całe lotnictwo. Nieprzyjaciel powinien był wykorzystać tę przewagę, całą mocą uderzyć w siły brytyjskie i oczyścić to tak zwane, o ironio! *Mare Nostrum* (nasze, t.j. niby włoskie morze), powinien on był jednocześnie stanowczym ciosem zlikwidować najpoważniejszą wschodnią bazę nieprzyjacielską na Malcie, położoną w odległości zaledwie 70 mil od własnych wybrzeży.

Logika wskazuje, że następstwem tego było by przerwanie łączności pomiędzy Wielką Brytanią a Bliskim Wschodem, solidne wzmocnienie lewego skrzydła sił nacierających na Egipt, zupełna blokada obszaru bałkańskiego. Ale najwidoczniej logika jest zupełnie inna w państwach o ustroju totalistycznym, bo rzadkie i lękliwe były zawsze wyjścia na morze floty admirała Cavagnari. Omal że każdorazowo napotykała ona siły brytyjskie czekające na sposobność walki—i w bardzo pośpiesznym odwrocie wymieniała kilka salw artyleryjskich na maksymalnym zasięgu. Powstało stąd twierdzenie, że idealną obsadę okrętu wojennego stanowią artylerzyści brytyjscy i palacze włoscy.

Nie chodzi mi o straty poniesione przez dwie walczące strony, ale o pewne zasady wojenne zignorowane przez stronę, która miała wszystkie atuty w swóim ręku.

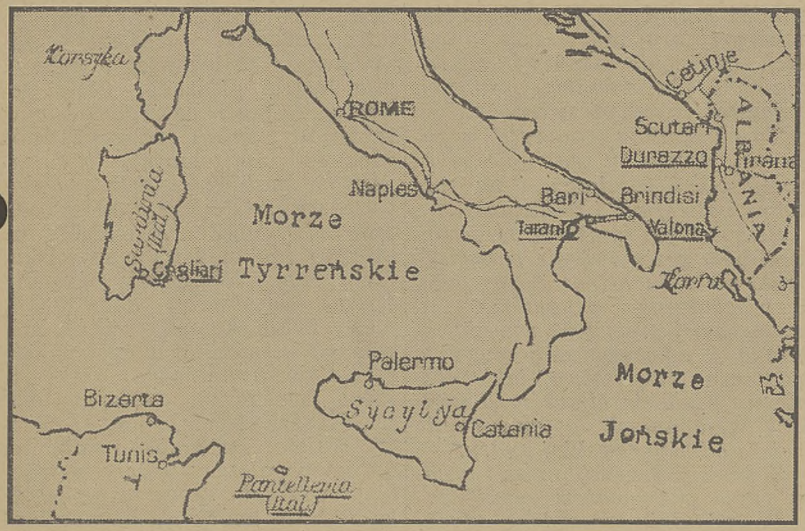
Na nieszczęście dla Mussoliniego, brytyjską flotą śródziemnomorską dowodzi jeden z najdzielniejszych i najzdolniejszych admirałów: Cunningham. A po kilkumiesięcznym pobycie na ziemi angielskiej łatwo jest zdać sobie sprawę z tego, co to znaczy być najdzielniejszym i najzdolniejszym wśród brytyjskich ludzi morza. Jest to postać, która przejdzie do historii morskiej i będzie niewątpliwie wzorem dla kilku przyszłych pokoleń w dziedzinie strategii i taktyki.

Nie mogąc osiągnąć wroga na morzu, admirał Cunningham postanowił zadać mu cios w jego kryjówce. Pewnej listopadowej nocy lotniskowce floty śródziemnomorskiej podeszły śmiało pod Taranto i zadały ten cios, krótki lecz stanowczy w angielskim stylu morskim.

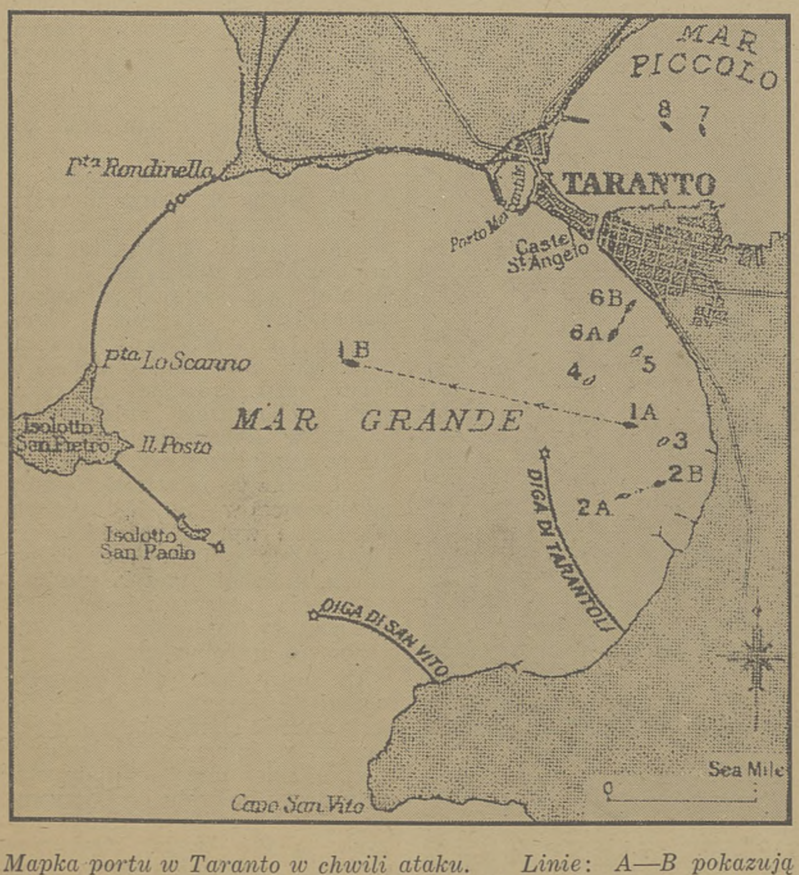
Operacji tej opisywać nie warto, jest ona każdemu znana; natomiast podkreślić trzeba następstwa tego uderzenia, które na przeciąg kiku miesięcy zredukowało do połowy najcięższy zespół włoski. Z tą chwilą mianowicie nastała wyraźna przewaga brytyjska na obszarze śródziemnomorskim, przewaga realna i tak bardzo już obecnie wydajna w swych skutkach. Bez niej bowiem nie do pomyślenia byłaby pomoc udzielana dzielnemu narodowi greckiemu, bez niej nieprzerwanym łańcuchem napływałyby posiłki i zaopatrzenie do portów albańskich. Opanowanie obszaru bałkańskiego mogłoby się stać łatwe i brzemienne w swych skutkach.

Na tym Morzu Śródziemnym, którego wzdłużne brzegi znajdują się jeszcze w posiadaniu nieprzyjaciela, flota brytyjska panuje obecnie niepodzielnie. O jej dalszych wyczynach nieraz jeszcze słyszeć będziemy.

Stala



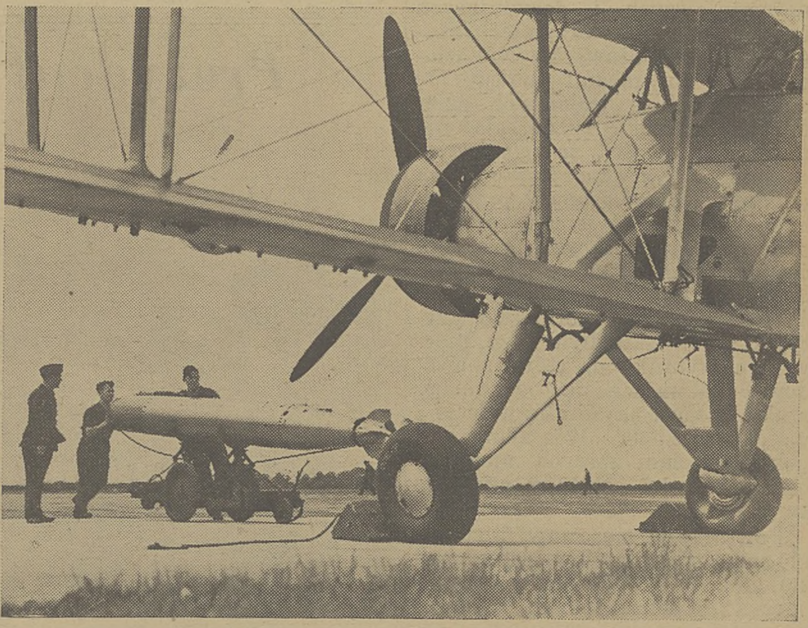
Mapka tej części Morza Środziemnego, na której rozegrały się dwie bitwy morskie



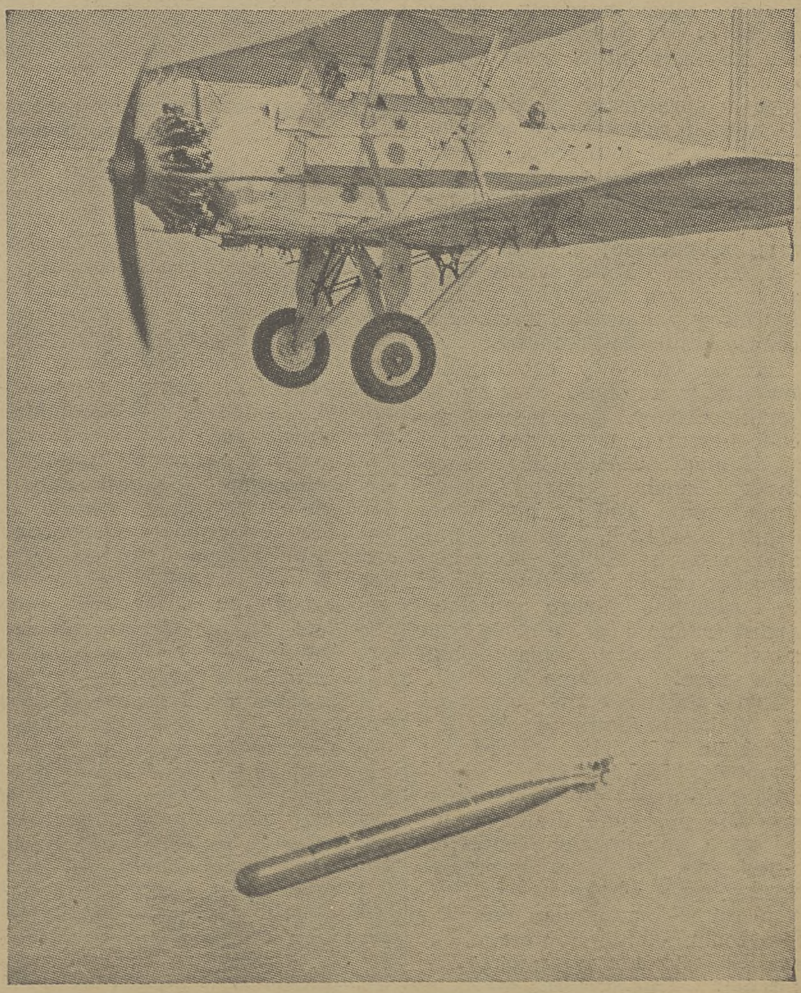
Mapka portu w Taranto w chwili ataku. Linie: A—B pokazują ruch uszkodzonych pancerników (1, 2, 6). *pozostałe cyfry* (3, 4, 5) *oznaczają okręty nieuszkodzone*

STRATY FLOTY WŁOSKIEJ

Rodzaj okrętów i ilość na początku wojny		Uszkodzone	Zatopione
PANCERNIKI	6	4	—
KRĄŻOWNIKI	22	3	2
DESTROYERY	61	1	9
ŁODZIE PODWODNE	117	—	25



Załadowanie torpedy na samolot "Fairy Swordfish," należący do lotnictwa marynarki (Fleet Air Arm)



Samolot wyrzuca torpedę na upatrzony cel

Atak na Taranto i bitwa pod Sardynią ujawniły znaczenie lotnictwa morskiego. Obie te akcje były bardzo szczegółowo i starannie przygotowane, dowiodły bezspornego górowania tej broni angielskiej. Wprowadzona po raz pierwszy w poprzedniej wojnie—dopiero w wojnie obecnej znalazła pełne i tak skuteczne zastosowanie, najpierw w Norwegii, obecnie na Morzu Śródziemnym

Radosna wizyta

Asfaltowana szosa, prowadząca przez jeden wielki park zwany Anglią—przechodzi w labirynt mniejszych, równie świetnie utrzymanych dróg. Pierwsze umocnienia betonowe—i dokładna rewizja papierów osobistych. O dwie mile druga. Potym trzecia i czwarta. Auto mknie wśród pól, na których snuje się blado-niebieska mgła wieczorna. Pola wyrównane, jak tereny golfa. Gdzie niegdzie długie, zaledwo na odległość kilkuset kroków dostrzegalne hangary. Na ogromnych polach rozrzucone kontury samolotów majaczeją w mglistych oparach.

Auta zwalniają bieg. Wielki maszt z polską i brytyjską chorągwią lotniczą. Dwa pod rząd wyprostowane szeregi kompanii honorowej. Krótka, ostra komenda angielska. Sygnał trąbki. Oddział lotników brytyjskich wita Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej, Władysława Raczkiewicza, który przyjechał z Londynu, by odwiedzić stacjonujące "gdzieś w Anglii"—*bombowe dywizjony polskie.*

O lotnictwie w ogóle a roli lotników polskich w szczególności zapisano już całe bele dziennikarskiego papieru, a po wojnie będzie się pisało tomy powieści i rozpraw psychologicznych. Już dzisiaj bowiem staje się dla każdego widoczna ta prawda, o której bardzo ciężko było przekonać społeczeństwa przed wojną, a mianowicie fakt, że lotnictwo stanie się jednym z najważniejszych i decydujących czynników w olbrzymiej rozgrywce sił światowych. Nie wiadomo jakimi torami potoczy się dalszy przebieg wojennych działań na morzu i lądzie, ale nie ulega wątpliwości, *że zwycięstwo zacznie się z chwilą porażenia głównych centrów oporu przeciwnika, którymi są wielkie ośrodki przemysłowe, fabryki broni i amunicji, rezerwuary benzyny, kopalnie węgla, porty i węzły komunikacyjne.* Lotnictwo brytyjskie i polskie było tym pierwszym czynnikiem, który spowodował załamanie się ogromnego ataku Hitlera na Anglię w lecie i na jesieni 1940. Wierzymy głęboko, że szum naszych motorów będzie również ostatnim akordem zwycięstwa.

Powtarzają się ramy historii, ale sama treść dziejów jest zawsze zmienna. W poprzedniej wojnie operowano masą ludzką, atakami piechoty, popartej przez ogień setek bateryj. Człowiek nie był nawet dostrzegalną cząstką tej potwornej maszyny w wojnie światowej 1914—1918, jakie stanowiły armie całych narodów. *Wojna obecna co raz to silniej zaznacza rolę indywidualności ludzkiej, jako siły rozstrzygającej.* A najlepszym sprawdzianem niesłychanie ważnej roli *każdego żołnierza* —jest właśnie lotnictwo. Wiemy chociażby z codziennych komunikatów sierpniowych, jak olbrzymią rolę w odparciu powietrznej inwazji niemieckiej odegrał lotnik —myśliwiec. Mniej znany natomiast jest ten niezwykły wysiłek *zbiorowej indywidualności*, jaki cechuje lotnictwo bombowe.

Samolot bombowy jest to jakby powietrzny autobus, wiozący ładunek pocisków. Leci do pewnego, ściśle przedtym wyznaczonego celu. *I musi dolecieć*—mimo dziesiątek zapór artyleryjskiego ognia, mimo ataków myśliwców nieprzyjacielskich, mimo najfatalniejszych nieraz warunków atmosferycznych. Musi wywiązać się z zadania, którego nadludzką wprost trudność ocenić może tylko człowiek, który ma jakie takie pojęcie o służbie lotniczej.

Czyta się codziennie komunikaty o bombardowaniu Berlina, Szczecina, Gdańska. Przerzuca się między jedną a drugą wiadomością ciekawe i efektowne opisy powitań i pożegnań, dłuższych lub krótszych sprawozdań lotniczych. I napewno, przebiegając oczyma szpalty tych artykułów, od których roi się w prasie, mało kto uprzytomni sobie, *jak olbrzymiego wysiłku wymaga od załogi taki właśnie, długodystansowy lot operacyjny.*

Sześć długich nocnych godzin spędzonych nieruchomo, w największym skupieniu nerwów i woli. Pokonanie wszystkich zapór przeciwlotniczych. Potym konieczność znalezienia celu w warunkach zawsze niezwykle ciężkich. Jakiś hangar, jakiś tor kolejowy, niemal z reguły ukryty w przyziemnej mgle, *który trzeba za wszelką cenę odnaleźć po kilku godzinach lotu nad terenem nieprzyjacielskim,* kiedy zmęczenie chwyta kleszczami mózg a ręce i nogi sztywnieją, zbite w nieruchomej ciasnocie. Następnie krótka chwila akcji—najdramatyczniejszy, ale zarazem i najbardziej precyzyjny moment działania. Potym drugie sześć godzin powrotu ponad Niemcami, w tych samych trudnych warunkach. I wreszcie lądowanie bez świateł, bez żadnych znaków, na lotnisku niemal zawsze spowitym w mgle. . . .

Mówiąc o załodze bombowca, użyliśmy wyrażenia "zbiorowa indywidualaność." Tak jest. *Każdy z tych kilku lotników pracuje z najwyższym wytężeniem myśli, wiedząc, że od jednego nieraz ruchu, od jednego gestu zależy nie tylko powodzenie wyprawy, ale i życie całej załogi.* Praca jest indywidualna, gdyż każdy ma jak najbardziej ściśle ustalone i trudne zadanie. Jest zbiorowa—gdyż polega ona na jak największym uzgodnieniu wszystkich sił przede wszystkim duchowych.

Przyjazd Pana Prezydenta Rzeczypospolitej przyjęto radośnie. Młode twarze rozjaśniał uśmiech. Ale była to radość skupiona, zaznaczająca się poważnie, jakby pewne wewnętrzne przeżycie. Pan Prezydent rozmawiał z oficerami, z podoficerami, z szeregowymi. Na każde Jego pytanie padała natychmiast odpowiedź. Żołnierz czuł się zaszczycony wizytą Szefa Państwa, był za nią szczerze wdzięczny, ale jego zachowanie się, pełne wewnętrznej dyscypliny, nie miało nic wspólnego z tym stereotypowym: "Rrrrozkaz Panie Prezydencie! Tak jest, Panie Prezydencie! Słucham posłusznie, Panie Prezydencie!" Oczy lotników patrzyły prosto w oczy Władysława Raczkiewicza, lecz w tym spojrzeniu, pełnym poszanowania dla osoby Prezydenta Rzeczypospolitej była i powaga i inteligencja i godność.

—*Jakżeż mi jest dobrze z wami, panowie*—mówił Prezydent.

I słowa te najlepiej oddawały uczucia wszystkich gości lotników. Było nam z nimi dobrze. Zarówno w świetnie urządzonych hangarach, kiedy młody podporucznik—pilot z zapałem objaśniał konstrukcję aparatu nowego typu, jak w salach żołnierskich, jaśniejących wyfroterowaną posadzką i wzorowym porządkiem oraz w pięknym kasynie podoficerskim. Było nam dobrze kiedy w wielkim hallu, pod żółtym abażurem stojącej lampy, siedzieliśmy do późna w noc, pogrążeni w rozmowach o Polsce. Za ciężkimi zasłonami okien kładła się ciemność i zimna, grudniowa mgła, najgroźniejszy nieprzyjaciel lotnika. Mówiliśmy o Ojczyźnie dalekiej, słuchając w przerwach, jak tyka zegar nad płonącym kominkiem. A potym szły opowieści, krótkie i proste, z których każda mogłaby być strzępem rapsodu. Opowieści o walkach nad Warszawą, nad Kanałem, nad Francją. Opowieści o życiu lotniczym, przez które przebija się błysk bohaterstwa, jak smuga reflektora. Czasami padało nazwisko, po którym zapadała chwila ciszy—i pochylały się głowy. "Był to dzielny pilot . . . dobry kolega. . . . Żebyśmy znali adres matki. . . ."



Prezydent R.P. przed frontem kompanii honorowej polskiego dyonu bombowego



W swobodnej rozmowie

Po uroczystościach, związanych z pobytem Pana Prezydenta—patrzyliśmy na codzienne życie na Stacji Lotniczej, życie, którego nurt pobudzał do refleksyj, zastanawiał, zaciekawiał i cieszył. Nie będzie przesadą, jeżeli powiemy, że praca naszych lotników w Anglii stanowi jakby przekrój zdolności i ogromnych, cywilizacyjnych możliwości naszego społeczeństwa. Po kilku miesiącach pobytu w Anglii, nie ma lotnika, którýby nie mówił po angielsku. Mało tego. Widziałem ogromny aparat najnowszej konstrukcji, niesłychanie skomplikowanej. Oświetlały go wielkie lampy, w których świetle widniały sylwetki naszych mechaników. Naprawiano jakieś uszkodzenie. Robota, bardzo trudna, szła szybko i składnie, od czasu do czasu padały wyrażenia techniczne, które rozumie tylko bardzo dobry fachowiec-konstruktor.

—Patrzę z podziwem na tych ludzi—mówił jeden z oficerów angielskich—każdy z waszych oficerów, to nie tylko pilot czy obserwator, ale urodzony inżynier. Każdy podoficer—to świetny mechanik, o którego w czasie pokoju, rozbijałyby się wszystkie wytwórnie samolotów. . . . Tak powinna wyglądać organizacja nowoczesnej armii. . . ."

Tak mogła ona wyglądać w Polsce, gdyby ci, którzy dzierżyli w swych rękach władzę wierzyli w swój naród i byli godni tego narodu, któru zalicza się do najzdolniejszych i najofiarniejszych społeczeństw w Europie. Tymczasem, jak to stwierdził generał Władysław Sikorski, lotnictwo w Polsce, rozporządzające świetnym wprost elementem ludzkim-było słabsze w 1939 aniżeli w 1927. Nie pomogły przestrogi ludzi, zdających sobie jasno sprawę z istoty nadchodzącej wojny. Nie pomogło nadludzkie wprost poświęcenie i bohaterstwo tych chłopców, którzy, otoczeni przez Niemców i nie mogąc już strzelać—rozbijali swe aparaty myśliwskie o wielkie bombowce przeciwnika.

Ale został duch, ożywiający te szeregi i gorzeje on, jak słup ognia, wśród ciemnych, mglistych nocy, które dzielą nas od świtu. I te światła lotnicze będą nam znaczyły drogę powrotu do Ojczyzny, tak, jak skrzydła lotników naszych są już dzisiaj poszumem wielkiej, polskiej sławy żołnierskiej.

Tadeusz Kiełpiński

Prezydent Czechosłowacji u swoich żołnierzy



Prezydent Czechosłowacji rozmawia z oficerami (po prawej stronie głównodowodzący gen. Ingr)

W czasie, gdy Prezydent Republiki Polskiej odwiedził miejsce pobytu swej armii, zawitał również Prezydent Republiki Czechosłowackiej do swych żołnierzy.

Program tych odwiedzin był szeroki. Chodziło o udział w ćwiczeniach polowych. Poza tym prezydent chciał być obecny na uroczystości związanej z przekazaniem sztandaru oddziałowi artyleryjskiemu. Nakoniec prezydent pragnał podkreślię znaczenie czechostowackich odznaczeń wojennych za odwagę w ten sposób, że osobiście dekorował insygniami czechosłowackiego Krzyża Wojennego i czechosłowackiego medalu wojskowego za waleczność tych członków czeskiej armii, którzy uzyskali to odznaczenie w walkach na terytorium Francji.

Prezydent dr. Edward Benesz przyjechał do siedziby dowództwa oddziału artyleryjskiego somewhere in England, *we środę 4-go grudnia. Był to dzień podwójnie uroczysty, gdyż 4 grudnia jest dla artylerzystów dniem świątecznym, jako dzień ich patronki.*

Prezydentowi Republiki towarzyszył minister spraw zagranicznych Jan Masaryk syn wielkiego T. G. Masaryka, prezydenta—oswobodziciela, i długoletni poseł republiki czechosłowackiej, w Londynie, dalej minister obrony narodowej i głównodowodzący wojska czechosłowackiego gen. dyw. Sergej Ingr, i.i.

Po powitaniu przez wojsko i oddaniu powitania w obecności prezydenta przemówił do artylerzystów minister spraw zagranicznych Jan Masaryk, który przekazał sztandar, dar Sokołów amerykańskich dla prezydenta republiki.



Wręczenie sztandaru przez prezydenta

Gdy prezydent republiki skończył swoje przemówienie dowódca oddziału artyleryjskiego przejął sztandar z jego rąk. Defilada oddziału artyleryjskiego z nowym sztandarem, zakończyła historyczną chwilę.

Następnego dnia Prezydent Republiki przyglądał się ćwiczeniom polowym brygady czechosłowackiej. Ćwiczenia zakończyły się odprawą i przemarszem jednostek bojowych przed prezydentem.

To popołudnie i poprzednie poświęcił prezydent na zwiedzenie pomieszczeń żołnierzy, i na rozmowę z oficerami i żołnierzami.

Szczytowym punktem trzeciego dnia było przemówienie prezydenta do pieszych jednostek brygady, i przekazanie insygniów. W mowie swej prezydent wyraził logiczną i umotywowaną wiarę w ostateczne zwycięstwo, jakie stanie się udziałem aliantów w wielkich zmaganiach o wyzwolenie świata od hitlerowskiej hydry.

Z kolei jednostki przedefilowały przed prezydentem republiki.

Po południu prezydent odwiedził siedziby pionierów, telegrafistów i jednostek zmotoryzowanych.

Churchill rozpoczął 67-y rok życia

Historia powtarza się. Po raz drugi w ciągu ćwierćwiecza Anglia, w chwili wielkiego kryzysu, wysuwa na czoło męża stanu, który jej może zapewnić zwycięstwo. Mimo braków i błędów, jaki porobił w epoce powojennej, Lloyd George był niewątpliwie człowiekiem opatrznościowym Wielkiej Brytanii. Po okresie niezdecydowania marazmu i krótkowzroczności, jakie charakteryzowały rządy Asquith'a, zdołał przełamać typowo angielską *"complacency"* (powolność w działaniu) i dać Anglii i jej posesjom zamorskim tak potężnego bodźca do organizacji walki, że zapewnił jej i jej aliantom, ostateczny triumf w roku 1918-ym.

Dzisiaj na jego miejscu i w tej samej roli widzimy Winstona Churchill'a, potomka jednego z największych wodzów angielskich XVII-go wieku, słynnego księcia Marlborough. Nie jest to jednak jedyny tytuł obecnego Premiera do rządzenia największym imperium świata. Poza kwestiami pochodzenia i krwi (matka Churchill'a była Amerykanką, z domu Jerome), est on niewątpliwie najwybitniejszym żołnierzem - parlamentarzystą i dziennikarzem, jaki kiedykolwiek urzędował na Downing Street. Jest to stosunkowo dość rzadkie połączenie talentów w jednej osobie, żołnierze bowiem rzadko czują się dobrze w roli parlamentarzystów, chociaż nierzadko działali i piórem, jak to czynił, na przykład, generał Sikorski.



Winston Churchill i gen. Władysław Sikorski w czasie podpisywania polsko-brytyjskiej umowy wojskowej

Jednak jeżeli chodzi o zamiłowania wojskowe i parlamentarne Churchill'a w grę wchodzi pochodzenie i tradycja. Jego nawyki dziennikarskie-to raczej konieczność, rozwinięta na podłożu wielkiego talentu pisarskiego. Rodzina Churchillów, jedna z najstarszych w Anglii, dała jej wielu wybitnych wojskowych, z wymienionym księciem Marlborough na czele. Stąd tradycja, która go skłoniła do zainteresowania się sprawami wojskowymi od najwcześniejszej młodości. Ojciec jego, lord Randolph Churchill, znakomity mówca i polityk, był jedną z największych sław parlamentarnych Anglii epoki wiktoriańskiej. Konserwatysta z przekonań, umiał on, jak pisał potem jego syn, łączyć idee tak zdawało by się skrajne, jak stałość angielskich instytucji z postępem, porządek z wolnością, równowagę z rozwojem, wreszcie partię konserwatywną z "rewolucyjnym ustawodawstwem." Matka premiera angielskiego, córka wielkiego businessmana amerykańskiego, wniosła ze swej strony bujny temperament Jankiesów i tę szybkość w myśleniu i działaniu. Od natury więc był p. Churchill bogato uposażony i talentów tych nie chował pod korcem.

Jak przystało na małego angielskiego "gentlemana" z tej sfery, poszedł on najpierw do słynnej szkoły w Harrow pod Londynem, rywalki Eton, potem zaś do szkoły wojskowej w Sandhurst. W szkole tej, o dziwo, uczył się dosyć kiepsko i był dzieckiem trudnym do opanowania. Z rektorem nierzadko miał porachunki i rózga nieraz była w robocie. Podrósłszy nieco, nabiera zamiłowania do teatru i literatury i budzi się w nim pierwsza iskierka do dziennikarskiej roboty. W ten sposób ukazuje się szkolne pisemko zwane: "*The Critic,*" w którym młody Churchill omawia różne sprawy i bolączki szkolne.



Potem przyszła kolej na szkolę wojskową w Sandhurst, jedną z najlepszych w Anglii. Tutaj dopiero, z krnąbrnego dzieciaka, zaczyna wykluwać się tęgi żołnierz-kawalerzysta, miłujący konie i wojsko, piękne mundury i parady. Obok tych spraw jednak młody Churchill zaczyna nabierać apetytu do wiedzy wojskowej, i dniami i nocami zaczyna studiować traktaty wojskowe i historyczne i przygotowywać się do wielkiej kariery, która go czekała później. Po ukończenia Sandhurst, idzie do armii i kolejno piastuje rangi oficerskie w różnych krajowych i zamorskich pułkach kawalerii.

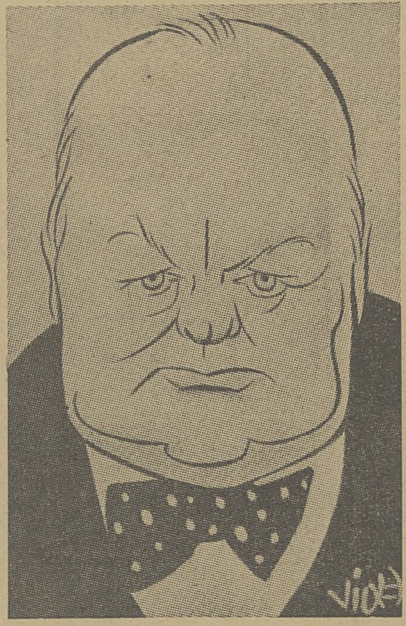
Zajęcia te ułatwiają mu zwiedzenie wielu angielskich kolonii i dominiów, skąd wynosi wielkie doświadczenie i znajomość spraw i interesów imperialnych. Widzimy go najpierw w obozie Aldershot, potem w Indiach, na Kubie, w Afryce (pod Omdurman), wreszcie, w wojnie boerskiej. Jako bezpośredni rezultat tych podróży ukazuje się pierwsza wybitna praca literacka Churchill'a p.t.: "Historia wyprawy do Malakand" w Indiach Wschodnich. Pisuje wtedy również do "Daily Graphic" i "Daily Telegraph" "Morning Post" w Londynie i wyrabia sobie nazwisko jako wybitny dziennikarz i znawca wojskowy.

Po pewnym czasie Churchill porzuca wojsko, aby poświęcić się niemal całkowicie pracy dziennikarskiej. Dzięki reputacji, jaką mu dała książka o wyprawie do Malakand, ustalając jego renomę jako pisarza, wchodzi w kontakt z lordem Northcliffem, podówczas już wielkim magnatem prasowym i twórcą milionowego "Daily Mail."

Jednocześnie ubiega się Churchill o mandat poselski i zostaje posłem do Izby Gmin z miasteczka Oldham w hrabstwie Lancashire. W tych warunkach zaczyna on rozwijać całą skalę swego wielkiego talentu pisarskiego i oratorskiego, z których go obecnie znamy. Nawiasem mówiąc, kontakt z "Daily Mail'em" utrzymuje dotąd i "Sunday Dispatch," który również do tego wielkiego koncernu prasowego należy, drukuje dotąd regularnie co niedzielę jego wspaniałe, głębokie i pouczające artykuły o różnych aktualnych zagadnieniach angielskich i międzynarodowych.

Podczas wojny boerskiej widzimy Chuchill'a w roli korespondenta wojennego "Fleet Street." Podczas wojny tej dostaje się do niewoli, lecz dzięki przytomności umysłu ucieka i sprowadza odsiecz dl. swych rodaków W tym okresie zaprzyjaźnia się z Generałem Both, słynnym wodzem boerskim, i w kilka lat po tej krwawej i tragicznej wojnie jest jednym z pierwszych rzeczników samorządu dla Boerów.

W parlamencie występue najpierw w szrankach partii liberalnej i jest zagorzałym zwolennikiem wolnego handlu. Daje się wtedy poznać jako niezwykle niebezpieczny przeciwnik polityczny i zręczny parlamentarzysta. Jak się to często w Anglii zdarza, ten arystokrata z urodzenia, sprzyja socjalizmowi i broni już wówczas praw "szarego człowieka." Jest to okres wielkich zmagań politycznych, z których Churchill wychodzi zwycięsko, otrzymując z rąk



Campbell-Bannermana stanowisko wice-ministra Kolonii, zaś z rąk Asquith'a, mając zaledwie lat 36, dostaje portfel ministra spraw wewnętrznych. W międzyczasie jest jeszcze ministrem handlu i członkiem gabinetu. W tym okresie zdobywa zaszczytną reputację "największej ozdoby partii liberalnej."

Z niebezpieczeństwem niemieckim w Europie spotyka się Churchill po raz pierwszy podczas słynnego "incydentu pod Agadirem," kiedy to Wilhelm II pokusił się o zdobycie punktu oparcia na Morzu Śródziemnym.

Szerokie studia polityki niemieckiej ugruntowują w nim już wówczas przekonanie, że pod pozorem tej nietaktownej demonstracji pychy i buty pruskiej kryją się głębsze, światoburcze, zamysły "Wilusia." Reaguje na nie szybko i od tej pory staje się najenergiczniejszym i najbardziej przewidującym angielskim mężem stanu, który z całą świadomością dąży do wzmocnienia angielskiego potencjału wojennego, przede wszystkim na morzu. Jest jednocześnie gorącym zwolennikiem porozumienia z Francją, urzeczywistnionym później pod hasłem: "Entente Cordiale."

W chwili wybuchu wojny światowej widzimy Churchill'a na upragnionym stanowisku ministra marynarki, gdzie pospołu ze słynnym marynarzem, Lordem Fischerem, mobilizuje wielką flotę angielską i przygotowuje do wielkich zwycięstw pod Jutlandią i do wyczerpującej walki z łodziami podwodnymi. Przykłada przed tem jeszcze rękę do porozumienia z Irlandczykami i jest jednym z współtwórców autonomii dla Irlandii.

Szybkość i dokładność działań, jakich Churchill jest wówczas, t.j. w ciągu wielkiej wojny, autorem, była niewątpliwie jednym z najważniejszych czynników zwycięskiej wojny, sukces bowiem blokady angielskiej, jak to w ostatniej mowie zauważył minister Dalton, niewątpliwie przyczynił się do ostatecznego obalenia potęgi niemieckiego cesarstwa. Nie wszystkie jednak posunięcia udają się. Desant w Antwerpii i wyprawa do Galipoli kończą się fiaskiem, lecz kosztowna nauka, tą droga zdobyta, nie idzie w las i zostaje wykorzystana całkowicie w obecnej wojnie.

Należy podkreślić, że za urzędowania Churchill'a w gmachu Admiralicji, pomnażają się znacznie szranki wielkiej floty i powstaje specjalny morski sztab wojenny. Jest on również jednym z tych, który pierwszy "odkrywa" przyszłego naczelnego wodza floty angielskiej, Lorda Beatty, triumfatora z pod Scapa Flow.

Po fiasku Dardanelskim, Churchill ustępuje i powraca raz jeszcze do armii, spędzając czas pewien na Froncie Zachodnim. Zdobyte tą drogą doświadczenie nasuwa mu myśl skonstruowania "tanku." Potem widzimy go jeszcze na stanowisku ministra dostaw wojennych i ministra kolonii.

Po wojnie przechodzi w szranki partii konserwatywnej i znów wypływa jako jeden z kolegów gabinetowych Baldwina w roli ministra finansów. Urząd ten piastuje z wielkim powodzeniem przez pięć lat i wprowadza szereg cennych reform finansowych i gospodarczych.

Podczas strajku węglarzy w r; 1926-ym daje się jeszcze raz poznać jako zręczny dziennikarz i wydawca, montuje bowiem, mimo wielkich przeszkód, oficjalny organ rządowy pod nazwą "British Gazette," który rozchoddzi się wkrótce w 400,000 egzemplarzy i doprowadza do szybkiej likwidacji strajku. W okresie tym powstaje jego najsłynniejsze dzieło wojskowo-historyczne pod tytułem: "The world crisis" (Kryzys Światowy), które mu zdobywa wielki rozgłos. Churchill bierze się również z wielkim powodzeniem do malarstwa pod kierownictwem Lavery'ego i daje się poznać jako zdolny pejzażysta i kolorysta.

W okresie poprzedzającym "drugą wielką wojnę," Churchill dużo podróżuje i pisze. Odwiedza Amerykę, ojczyznę swej matki, i jest tam niezwykle popularnym gościem. Obserwuje jednak pilnie europejski horyzont i szybko orientuje się w niebezpieczeństwie, jakie zaczyna grozić Anglii i Europie ze strony fanatyków hitleryzmu.

Jest to niestety na długie lata "głos wołającego na puszczy," bowiem rozbrojone moralnie społeczeństwo angielskie w sielskiej epoce Baldwina, i MacDonalda, nie chce brać na serio jego ostrzeżeń i nawoływań, za co teraz musi tak ciężko pokutować. W okresie Monachium jest Churchill gwałtownym krytykiem polityki Chamberlain'a, pospołu z Edenem i Duff Cooperem, lecz dopiero obawa przed niepowetowaną klęską Anglii otwiera mu ponownie drogę do najwyższej władzy w kraju.

Pod naciskiem zdrowej opinii publicznej, Churchill ponownie obejmuje na początku wojny stanowisko ministra marynarki, zaś w krótkim czasie po tym, stanowisko premiera, gdzie wykazuje walory nie tylko wielkiego męża stanu, lecz przede wszystkim człowieka opatrznościowego. Jego odwaga i spokój, energia i doświadczenie, nadają nowy rozpęd potężnej machinie bojowej Brytanii i imperium, z rezultatami, które już obecnie można zaobserwować.

Po klęsce Francji i szczęśliwej ewakuacji z Dunkierki, Anglia, przyparta do muru, zaczyna walczyć jak lew, parując uderzeniem na uderzenie, i zdobywając powoli lecz stale przewagę zarówno na oceanach, jak i w powietrzu. Naród angielski przenika uczucie, że znalazł on nareszcie wodza, który Anglii pospołu z jej aliantami, a w tej liczbie i Polsce, zapewni ostateczne zwycięstwo, zapewni triumf zasad wolności i sprawiedliwości.

Stefan Kleczkowski



Premier Churchill zwiedza umocnienia obronne na wybrzeżach Anglii

Żołnierze polscy w gościnie u Anglików



Na ulicy gościnnego miasta

NIECO HISTORII

Zaczęło się wszystko od tego, że Mr. Thomas Neale, dziś poważany obywatel miasta Bradford w hrabstwie Yorkshire, a czasu wielkiej wojny zwykły "prajwet" armii angielskiej dostał się do niewoli niemieckiej. Los zrządził, że właśnie tego jeńca skierowano do pracy na ziemie Polski, a Polacy okazali mu tyle życzliwości i serca, że stał się gorącym zwolennikiem i wielbicielem naszego narodu. Po powrocie do ojczyzny zaczął p. Neale w rodzinnym mieście na własną rękę propagandę Polski i Polaków, ale dopiero wybuch wojny i bohaterski opór, który najeźdźcy stawiła armia polska stały się najwymowniejszym poparciem jego wysiłku. Kiedy zaś w czerwcu b.r. wojska polskie wylądowały na ziemi brytyjskiej p. Neale wybrał się z wizytą do Szkocji, do obozu 10 B.K.

"MUSICIE DO NAS PRZYJECHAĆ"

Przybył nie tylko we własnym imieniu, ale przywiózł także pozdrowienia od społeczeństwa miasta Bradford i gorące zaproszenie dla żołnierzy, aby przybyli w odwiedziny.

—"Ilu ma przyjechać?"—pytano pana Thomasa.

—"Co najmniej tysiąc"—brzmiała odpowiedź—"utrzymanie kompletne, rozrywki i t.p. zapewnione. Musicie koniecznie przyjechać!"

Łatwo było powiedzieć! Oczywiście koczującemu w lesie żołnierzowi uśmiechała się myśl takiej wycieczki, pora jednak nie sprzyjała, bo właśnie groziła wyspom brytyjskim zbrojna niemiecka pielgrzymka i żołnierz musiał stać w pogotowiu.

Ale nie uciekło tym razem to, co się odwlec musiało. P. Neale nie tracił zresztą czasu. Zorganizował specjalny komitet, wyszukał cały batalion "matek chrzestnych," tak że na długo jeszcze przed "weekendem żołnierza polskiego"—tak się nazywały oficjalnie polskie odwiedziny—zostały nawiązane więzy przyjaźni i sympatii pomiędzy obywatelami miasta Bradford a żołnierzami 10 Brygady Kawalerii.

CZARNA "INWAZJA"

Dopiero wieczorem 22.XI. doszła do skutku zapowiadana od dawna wizyta. Matki chrzestne i komitet przyjęcia czekali na dworcu, a kiedy z pociągu wysypała się blisko setka ułanów z jednym czarnym naramiennikiem gwar się uczynił wielki, momentalnie rozdzielono kwatery i za chwilę nasi zmotoryzowani prowadzeni przez "matki" rozpłynąli się w dużym, 400-tysięcznym mieście.

Okazało się przy tym, że przezorny p. Neale wybrał na "matki chrzestne" przeważnie kobiety w średnim wieku. "Widzi Pan—tłomaczył mi później pewien Angliczanin—zrobiliśmy to celowo. Może by tam niejednemu wojakowi bardziej przypadła do serca jakaś młódka, ale "girls" to dobre towarzyszki na dancing czy do kina, oraz gruchań miłosnych, natomiast stateczne gospodynie lepiej się zatroszczą o bieliznę żołnierską, pocerują skarpetki, "wyszydełkują" ciepły szalik i t.d. A zresztą—dodał—jeśli o uczuciową stronę idzie, to przecież poważne kobiety mają zwykle dorastające lub dorosłe córki." . . . I tak właśnie było! Nie wiem, czy to także przewidział zapobiegliwy komitet, ale "chrzestne siostry" były bardzo miłe i urocze.

A kiedy wieczorem po kolacji zasiedli nasi przy kominkach zaczęły się rozmowy: o rodzinie, o kraju, o przygodach i naturalnie o Szkocji i Szkotach. Pilnie przepytywano, czy naprawdę tamtejsza "*hospitality*" jest tak wspaniała, jak ich słuchy dochodzą. Usłyszawszy potwierdzenia, zaczęli mili Anglicy świadczyć różne pochwały pod adresem Szkotów, które z godnością odbieraliśmy w imieniu naszych przyjaciół. Okazało się, że znane tu jest szkockie pożegnanie: "*cheerio*" i pieśń przyjaźni "*Auld Lang Syne*," którą zgodnie śpiewali Polacy i Anglicy przy kominkach bradfordzkich. Dla ścisłości kronikarskiej zaznaczyć wypada, że niejedną czarkę szkockiego "białego konia" (gatunek *whisky*) wypito przy tej okazji. Jednym słowem Anglicy zdobyli sobie w błyskawicznym tempie sympatie naszych żołnierzy, a ich gościnność całkowicie dorównała szkockiej.

ZWYCIĘSKA DEFILADA I PRZEGRANY MECZ

Sobotnie uroczystości zaczęły się od defilady przed pomnikiem wojny światowej. Przed tym jeszcze oddział przemaszerował dziarsko przed Lordem Mayorem miasta p. William Illingworth oraz zastępcą dowódcy 10 B.K. Orkiestra niedawno utworzona, prowadzona przez chorążego Grossa, grała znakomicie, więc całość wypadła doskonale. Specjalną uwagę zwracał oddział umundurowanych artystek z "Lwowskiej Fali" p. Majewskiej i Grelichowskiej, które wraz z całym zespołem przybyły również na to święto przyjaźni polsko-angielskiej.



Inicjator imprezy p. Neale w rozmowie z oficerem polskim i brytyjskim

Po południu na pięknym stadionie ozdobionym sztandarem Polski i Wielkiej Brytanii odbył się mecz piłkarski. Ze strony angielskiej stanęła na boisku reprezentacja amatorska okręgu Yorkshire, sport brygady reprezentowali "towarzysze przeciwpancerni." Na rozmiękłym gruncie ujawniła się od razu przewaga techniczna Anglików i z początku sytuacja była niewesoła. Później jednak gra wyrównała się. Publiczność wyraźnie faworyzowała. . . . Polaków. Ilekroć skrzydłowy lub łącznik otrzymywał piłkę podnosił się na trybunach zgodny okrzyk "*go on*" (na przód) a często gęsto agitowano przeciwko własnym rodakom "*shell*" (strzelaj). Niestety nasi zachowywali się zbyt kurtuazyjnie i w dogodnej sytuacji pod bramką podawali dość często piłkę . . . angielskiemu obrońcy. Nie mniej jednak grano ambitnie i spokojnie, prawdziwie po przyjacielsku, a końcowy wynik spotkania 5:2 ujmy naszym nie przynosi.

Wieczorem zaproszono naszych na dancing, gdzie, jak zapewniają wiarygodni świadkowie "pepańce," którzy lepiej strzelają do czołgów niemieckich, niż do "bramki" angielskiej, odegrali się całkowicie i byli podejmowani bardzo gościnnie i serdecznie.

KONCERT

W niedzielę po południu tłumy publiczności (ponad 2.500 osób) przybyły na koncert polski do sali ogromnego kina. Przed przedstawieniem przemówił zastępca dowódcy brygady, podkreślając znaczenie tego faktu, iż od czasu Wilhelma Zdobywcy—Polacy byli pierwszymi cudzoziemcami, którzy zbrojnie wylądowali na wyspach brytyjskich, a teraz razem z obywatelami imperium walczą o wolność i lepsze jutro świata.

Program koncertu, w którym obok sił artystycznych 10 B.K. wystąpiła "Lwowska Fala," był bogaty i urozmaicony. Grała orkiestra i śpiewał bardzo dobry chór pod batutą wachm. Konstantego Bieniasza, zbierając zasłużone oklaski. Obydwa zespoły delegował 10 p.s.k.

Potem poszły popisy solowe: piosenki angielskie p. Majewskiej, melorecytacja i piosenka ludowa p. Grelichowskiej, monologi angielskie Wieszczka, gra na akordeonie Hausmana, bardzo udany krótki recital pianistów, występ kolegi—zdaje się z artylerii, który grał na harmonijkach ustnych przechodząc do co raz mniejszego formatu, rysunkowe dowcipy i karykatury Antoniego Wasilewskiego—wszystko gorąco i serdecznie oklaskiwane przez publiczność. Na zakończenie zespół "Wesołej Fali" odśpiewał ulubioną piosenkę w dialekcie miejscowym "*my girl, a Yorkshire girl*," poczem orkiestra odegrała hymny narodowe.

POWRÓT DO GNIAZDA

Poniedziałek był dniem rozstania. Rano pułkownik D. złożył wieniec u stóp pomnika poległych i pożegnał się z przedstawicielami miasta. Na długo przed odejściem pociągu zaczęli napływać żołnierze odprowadzani przez "chrzestne" mamy i siostry. Długo jeszcze spacerowano, gwarzono, notowano adresy, oglądano fotografie. Wreszcie konduktorzy zaczęli nawoływać do wsiadania. Torebki ze słodyczami, pudełka papierosów, drobne "souveniry," wydobyte jakby na komendę wywołały nową falę podziękowań. Popłynęło trochę łez niewieścich, zaszeleściło kilka odważniejszych pocałunków, wionęły w górę chusteczki i po chwili już pociąg unosił nas z gościnnego Bradfordu do górzystej Szkocji.

Ludwik Bojczuk

"The visit was a great success, your Polish Boys were very fine. I am proud to be associated with such a fine race of men. We have handed to our Lord Mayor the sum of £125 for his Services Fund, for which he thanks you very much."

"Wizyta bardzo się udała, Wasi Polscy Chłopcy byli bardzo wspaniali. Czuję się dumny, że jestem związany z tak świetną rasą ludzką. Przekazaliśmy Lordowi Mayorowi sumę 125 funtów na jego fundusz opieki nad armią, za co bardzo Wam dziękuje."

Z listu Pana I. L. Neale'a do redaktora "Polski Walczącej."

SZKOCJA I SZKOCI

V.*

Zauważyłem, iż jakkolwiek Polaków interesuje wszystko, co dotyczy Szkocji i Szkotów—najbardziej ciekawi ich sprawa obyczajów ziemi, która nas tak gościnnie przyjęła. Obyczaje Anglików i Szkotów (w tej dziedzinie różnice między obu narodami są nieznaczne) już nieraz były opisywane na łamach czasopism polskich. Ja zamierzam opisać zasadnicze obyczaje Szkotów i Anglików z punktu widzenia czysto życiowego.

Przy powitaniu ręki się na ogół nie podaje, jak również i przy pożegnaniu. W każdym razie kobieta (a przy powitaniu dwóch albo więcej mężczyzn—starszy mężczyzna)—musi pierwsza wyciągnąć rękę. Kobiet się w rękę tutaj nie całuje, chyba narzeczoną: natomiast jest faktem niezbitym, iż całowanie w rękę Brytyjkom przypada niezmiernie do gustu, więc stosujący ten zwyczaj z umiarem Polacy najwyżej zyskają na popularności. . . . Natomiast całowanie się mężczyzn przy powitaniu jest tutaj zupełnie nieznane, niedopuszczalne w stosunku do Brytyjczyków, a Polacy całujący się na widoku publicznym narażają się tylko na drwiny, jest to może jedyna cecha kontynentalna, która się tutaj nie podoba.

Mężczyzna idący z kobietą w mieście, chodzi zawsze od jezdni, czy to będzie po lewej, czy też prawej ręce towarzyszki—aczkolwiek tej zasady nikt się zbyt rygorystycznie nie trzyma, i istnieje właściwie "wolność strony." Mężczyźni nigdy nie chodzą pod rękę ze sobą, z kobietą owszem (nie mężatką) przy bliższej znajomości, ale rzadziej niż u nas; przy czym czeka się zazwyczaj na inicjatywę kobiety.

Przy pożegnaniu obowiązują te same przepisy co przy przywitaniu, przy czym jeśli opuszcza się czyjeś mieszkanie inicjatywa podania ręki wychodzi od gospodarzy. Więc albo wychodzi się skinąwszy wszystkim głową i podziękowawszy w paru słowach bez rozpływania się—albo gospodarz lub gospodyni podaje rękę na dowidzenia. W takim wypadku należy uścisnąć dłonie wszystkim obecnym. Pożegnania tylko z gospodarzami i dyskretnego usuwania się, t.zw. "wychodzenia po angielsku"—w Wielkiej Brytanii nie znają.

Po spożyciu posiłku—nie dziękuje się. Po prostu wstaje się od stołu. Przy stole nie należy się krępować, gdyż zwyczaju namawiania gości do jedzenia w Szkocji nie ma. Zasadniczo panie mają pierwszeństwo w nakładaniu jedzenia na talerz, cukru, itp.—ale na ogół pobiera się wszystko w kolejności siedzenia przy stole. Gość honorowy siedzi po prawej ręce gospodyni, tak jak u nas.

Przy przechodzeniu przez drzwi, wchodzeniu do domów itp.—przepuszcza się najpierw kobiety, ale mężczyźni między sobą nie certują się: kto jest bliżej drzwi, ten przechodzi pierwszy.

Młodzi ludzie i panny mówią do siebie, prawie od chwili poznania, po imieniu. Jak wiadomo druga osoba liczby pojedynczej ("ty") wymarła w języku angielskim—używa się więc do wszystkich wyłącznie drugiej osoby liczby mnogiej "*you*." Przy czym jeśli się nie jest z kimś na "ty" używa się zwrotu "Mr. Brown," "Mrs. Brown," "Miss Brown," a nigdy "Mister" "Mrs." lub "Miss" osobno, bez dodania nazwiska.

Podobnie nie mówi się nigdy "lady," co czynią często Polacy. "Lady" znaczy ogólnie pani, ale w odniesieniu do jakiejś osoby oznacza tytuł szlachecki, więc zwrot ten może być stosowany wyłącznie w odniesieniu do żon "Baronetów" (Sir'ow), Lordów oraz do córek "Earl'ów" i "Duke'ów." Zwrot "lady" użyty w stosunku do osoby nie posiadającej tego tytułu może zakrawać na drwiny, aczkolwiek jest stosowany niekiedy przez ludzi niewykształconych w niektórych częściach południowej Anglii, a szeroko w Ameryce. Wśród ludzi starszych, ale rówieśników przechodzi sie z "Mr.," "Mrs.," "Miss" na Tom, Betty, Jean itp. stosunkowo szybko, i jakby stopniowo, gdyż "bruderszaftu" tu nie znają. Ludzie młodsi stale mówią do starszych przez "Mr.," itp., dodając nazwisko, a do starszych panów oraz przełożonych "sir" (tutaj trzeba bardzo uważać: o ile po "Mr." wymienia się nazwisko, o tyle "sir" używa się bez nazwiska, chyba żeby komuś tytuł ten przysługiwał, a wówczas mówi się "Sir William," a nie "Sir Brown").

Brytyjczycy nie obchodzą imienin, natomiast obchodzą urodziny, które uważa się za wielkie wydarzenie w życiu solenizanta. Obdarza się go licznymi prezentami, oraz życzeniami "*many happy returns*" ("wielu szczęśliwych powrotów dnia").

W Anglii największym świętem w roku jest Boże Narodzenie, w Szkocji zaś Nowy Rok. Pod wpływem jednak raptownego przenikania zwyczajów angielskich do Szkocji w ostatnich latach—święta Bożego Narodzenia są obecnie uroczyście obchodzone w Szkocji również, chociaż zajęcia są normalne, sklepy czynne, itp. Tym niemniej życzenia świąteczne i noworoczne (które kupuje się gotowe w sklepach i tylko podpisuje i wysyła jako druk) winny nadejść do adresata w wilię, lub w pierwszy dzień świąt—a najdalej w drugi dzień świąt. Bliższym przyjaciołom, a zwłaszcza dzieciom posyła się upominki gwiazdkowe. Choinkę zapala się, oraz wręcza się upominki w pierwszy dziej świąt, kiedy to również spożywa się uroczysty obiad świąteczny. Wilia nie jest jak u nas postem, ale dniem zabaw, i ma charakter raczej zbliżony do Sylwestra, również uznanego w Wielkiej Brytanii za dzień hucznych rozrywek.

W powyższych uwagach starałem się odpowiedzieć na większość pytań, zadawanych mi przez kolegów w wojsku. Oczywiście jest to ledwie zahaczenie o całokształt zasad brytyjskiego "*savoir-vivre'u*." Wysoka kultura narodu brytyjskiego, a przede wszystkim dbanie o dobre wychowanie dzieci, przyczyniły się do tego, że zewnętrznych przepisów towarzyskiego życia jest tu stosunkowo bardzo niewiele, a istniejących form nie trzeba się rygorystycznie trzymać. Wbrew przekonaniu narodów kontynentalnych Anglicy i Szkoci nienawidzą formalistyki, a w pożyciu towarzyskim są bardzo swobodni i bezpośredni. Trzeba też dodać, iż bardzo lubią t.zw. "kontynentalną uprzejmość," to też cudzoziemcy na terenie Wielkiej Brytanii cieszą się wielką popularnością ze względu na swoje "egzotyczne" maniery.

Leszek Meyer

* Por. nr. 27, 28, 32 i 34 "Polski Walczącej."

Z życia obozów

Strzelanie na wprost



Oficer polski rozmawia z angielskim żołnierzem w czasie ćwiczeń artyleryjskich

Tego dnia nie było chętnych do pozostania w obozie. Stawka za zastępstwo na służbie, która wobec wyruszania całego dywizjonu w pole była prawdziwą całodzienną obijaczką—dochodziła do jednego szylinga za godzinę. A pomimo to amatorów nie było.

Nawet Pawłowski, rekrut z Francji, młody chłopak, któremu nigdy nic się nie chciało, taki, który doszedł do mistrzostwa w "wymigiwaniu się" od pracy, nawet Pawłowski, zawsze uśmiechnięty i stale powtarzający bezmyślnie ni w pięć ni w dziesięć: szkoda gadać," tym razem to swoje "szkoda gadać" wypowiedział stanowczo i z sensem: "szkoda gadać" ani za dziesięć szylingów nie zostanę.

Dwa dni strzelań, dwa dni huku i swędu—zaostrzyły apetyty. Tym razem czekała nas w dodatku emocja pierwszej klasy—strzelanie na wprost do celów widocznych.

Stanowisko nasze było na samym dnie wklęsłej misy poligonu w górach. Krajobraz gruntownie zmienił się. Wczoraj wszystko to mieliśmy pod stopami, co dziś ponad naszymi głowami. Dziś patrzymy na świat—od dołu. Tam daleko u góry widać na stoku wczorajszy punkt obserwacyjny, a tu—jakże kierunki i proporcje się zmieniły—biła nasza bateria dakim ogniem na ten grzbiet wzgórza, na "okopy nieprzyjaciela."

Na dole stoją działa. Na wzgórzu, które zatacza łuk na lewo od stanowiska, już wygodnie rozsiadły się obsługi tych baterii, które na razie obserwują pracę innych.

Na spływającym ku nam od przodu zboczu, pociętym jarami i urozmaiconym plamami wrzosów i paproci w odległości 800—1500 mtr. rozrzucono dla nas cele.

—Uwaga, pierwsza bateria zaczyna!

Siedzimy z boku i z góry—widzimy wszystko, jak z wygodnych miejsc na stadionie.

Działowym wskazano cele. Celowniczowie szybko biorą je na kątomierze.

—Gotowe, pal!

Huk, gwizd, jak trzaśnięcie bicza i . . . jak na meczu tenisowym za piłką odwaloną na drugą stronę siatki—wszystkie głowy zwróciły się szybkim, wspólnym ruchem w lewo, od dział ku dobrze widocznym celom. O, tam przy białej kupie kamieni, pozorującej jakiś "punkt oporu," czy "gniazdo c.k.m." nieprzyjaciela, na zielonym zboczu wzgórza, trochę w lewo—wzbija się w górę słup burego dymu i widać, ciśnięte siłą wybuchu, grudy ziemi.

Zanim na tym dystansie niewiele spóźniony huk doszedł do naszych uszu—już artyleryjska spekulacja kibiców ustaliła: "zmniejszyć, nie dużo zmniejszyć, jakie pięć tysięcznych i niżej, niżej, pod stopy celu."

A tymczasem szła już kanonada trzech dział baterii. Jedno działo wciąż jeszcze oczekiwało na pojawienie się "zarezerwowanego" dla niego czołgu, mającego lada chwila wychylić się z któregoś jaru.

Trudno jednak śledzić wszystkie strzelania naraz, koncentrujemy więc od razu uwagę na jednym działonie. Znów charakterystyczne "trzaśnięcie biczem" i—z zapartym oddechem patrzymy, gdzie pokaże się słup dymu. Jest! Zakrywa cel. Aha, krótki, prawie na kierunku, jeszcze zmniejszyć o jakie dwie—trzy tysięczne. I—dolatuje nas detonacja pocisku.

Nie zdążyliśmy spojrzeć ku działu, gdy huknął trzeci strzał. A po chwili—doskonale widzieliśmy—razem ze słupem dymu, razem z grudami ziemi lecą w górę kamienie, pozorujące stanowisko nieprzyjaciela—cel rozbity trzecim strzałem. Kiedy wolno osiadł dym—nie zobaczyliśmy ani śladu po "nieprzyjacielskim punkcie oporu."

Takeśmy się rozanimowali walką któregoś tam działonu pierwszej baterii z tym "punktem oporu," żeśmy wcale nie widzieli rozprawy innego z "czołgiem." To też przy strzelaniu następnej baterii postanowiliśmy "przyuważyć" specjalnie tank.

O, jest, wychyla się z za jakiejś fałdy terenowej i kołysząc się w ruchu posuwa się na przód. Wygięta w łuk, falista blacha, a nad nią na drewnianej ramie naciągnięte płótno. Nieudolna imitacja stalowego smoka dzisiejszych pól walki, ale cel—dobry.

Trach, już poszedł pierwszy strzał. Na tle szarego wytrysku widzimy wyraźnie "czołg." Drugi strzał zasłania go nam. Wyprzedzenie trochę za duże, strzał trochę za krótki, ale tak jak i przy pierwszym strzale—pocisk pada w najbliższej odległości—"obsługa czołgu" czuje się z pyszna! I wtedy pada trzeci strzał. Wspaniały! Chyba już po "czołgu," który szarpnięty siłą eksplozji, ginie nam w dymach wybuchu. A jednak nie.—Kiedy opadł dym, widzimy czołg wprawdzie nieruchomy, ale cały.

—Linka przerwana!

Trzeci strzał urwał linkę, na której ciągnięty jest cel, pozorujący "czołg." Więcej nie będzie on ostrzeliwany; do nieruchomego "czołgu" na poligonie strzelać nie warto, szkoda pocisków.

Po skończonym strzelaniu widzimy wynik tej roboty z bliska. Stalowa linka zerwana była dosłownie na metr przed "czołgiem." Prawdziwy czołg, większy od imitującego go celu, byłby napewno trafiony tym strzałem. . . .

I oto nasza wybiła godzina. . . . Jak toreadorowie na arenę schodzimy z amfiteatru wzgórza do dział. "Publiczność" ze spokojem gryzie czekoladę, popija zimną kawę z manierek, wypróżnia blaszanki z kompotem. . . . Czujemy na plecach wzrok obserwujących nas dowódców i ciekawe spojrzenia Anglików, którzy w ciągu paru dni strzelań powiedzieli już naszym przełożonym wiele miłych słów na temat tego, jak "polishe" strzelają.

Pokazują nam nasz cel. Naturalnie najgorszy! Bo w wojsku tak już jest, że wszystko co nam przypada w udziale jest zawsze—najgorsze. Czy widział kto gdzie drugą taką "śrubę," jak "nasz" dowódca baterii? "Nasz" namiot jest zawsze najwilgotniejszy, "nasza" porcja na obiad to same żyły i łój, "nam" naturalnie najtrudniej o przepustki, u "nas" najczęściej wypada służba, "nasza" warta zawsze zdarza się w deszcz. U "innych" jest—o jest zupełnie inaczej. Tylko lepiej tych "innych" nie pytać jak jest.

Otóż nasz cel—"gniazdo karabinu maszynowego"—jest naprawdę niewesoły. Na zboczu, przechodzącym akurat w tym miejscu w łuk, co myli dystans, na bardzo "obojętnym" szarym tle, bez "znaków szczególnych," które ułatwiłyby "zaczepienie wzroku" i "umiejscowienie" wybuchu przy obserwacji strzelania.

Krótka narada, poczym "stary," a właściwie—łysy—nasz celowniczy - plutonowy - podchorąży dosłownie cały włazi w ślad za oczami w kątomierz. Wręczyciele, generalni "pomagierzy" w obsłudze działa—narzucają mu ogon armaty. Ruchy jego ręki stają się co raz drobniejsze, wreszcie już tylko jednym palcem znaczy małe przesunięcie ogona, poczym pokrętkiem kieszonkowym "dobija" wycelowanie i po polsku zaciska pięść, a przypomniawszy sobie, że jest w Szkocji—angielskim zwyczajem uderza się po pośladku, co w mowie artyleryjskich gestów znaczy—gotowe!

Wręczyciele mogą teraz odskoczyć ze swego dotychczasowego posterunku i powrócić pod rękę stałego "szefa"—amunicyjnego. Nasi wręczyciele, choć obaj kaprale, ruszają się niezbyt pewnie. Obaj niedawno dopiero "awansowali" do artylerii z piechoty. Nie są nawet do siebie dopasowani. Jeden—młody, wysmukły i wymuskany czarny chłopak wysokiego wzrostu. Drugi—niski i trochę niezgrabny "starszy pan," inżynier, drogowiec, zapewne myśli sobie podczas strzelania, że nieskomplikowana jest jego robota "w charakterze" wręczyciela. To "w charakterze" jest jego ulubionym i mocno nadużywanem zwrotem.

. . . "Stary" trzepnął się po pośladku. "Gotowe, pal!" — Grzmotem prasnęło po uszach, uderzyło swędem w nozdrza.

Amunicyjny ma pełne ręce roboty, pocisk trzeba szykować za pociskiem w tempie "blitzkriegu." Przy strzelaniu "na wprost" pracować trzeba na wyścigi z nieprzyjacielem, który inaczej wykończyłby nas "na perłowo."

Poprzez huk sąsiednich dział i grzmot własnego, dolatują mnie w gorączce pracy urywane słowa: "daleki . . ." "bliski . . ." "za bardzo w prawo, mówiłem, dodaj!"

Po kilku strzałach "cudzy" porucznik przydzielony do działonu dla oceny strzelania, woła:

—Bardzo dobrze, zadanie wykonane, cel obramowany na 25 mtr. Ale jak chcecie macie jeszcze jeden strzał!

Za działem wybucha namiętna, choć błyskawiczna dyskusja. Ożywia się nawet nasz działowy-ogniomistrz-podchorąży, z typu tych blondynów, których trochę krótkowzroczne oczy stale nieco przymrużone, sprawiają wrażenie, iż nigdy nie jest on ostatecznie wybudzony ze snu. Nawet nasz działowy, dzięki swej idealnej flegmie doskonale pasujący do wojska—brytyjskiego tym razem doskoczył żwawo do kątomierza.

—Mówiłem ci — perswadował "staremu"—dodaj dwie tysięczne, a ty wciąż walisz w prawo i walisz! Naturalnie, — dodał, zmrużywszy lewe oko, a prawe nastawiając na przeziernik—trzeba dorzucić te parę tysięcznych.

—Widzisz—broni się "stary"—to nie jest mój błąd, ja po prostu tak widzę, widzę wszystko o dwie tysiączne w prawo.

Ta dość zawiła artyleryjska żonglerka słów trwała zaledwie sekundy. Krótki ruch pokrętłem kierunkowym nadał poprawkę i—buchnął strzał.

Mogłem go już obserwować, był bowiem ostatni. . . . Najpierw słup dymu zasłonił nam cel—czyżby strzał był za krótki? A potym, gdy osiadł—przekonaliśmy się, że nie pozostało z niego ani wspomnienia. Radość naszą wyładowaliśmy w bezładnych okrzykach, z którymi zlał się jakiś tumult na prawym skrzydle baterii. To po skończonym strzelaniu wiwatowano na cześć pierwszego działonu, który jednym strzałem rozwalił czołg.

Pierwszy działon, to moi "szlafkamraci" z willi (czytaj—namiotu) "Pod Twardowskim." Biegnę więc złożyć im gratulacje. I dowiaduję się, że nie tylko "czołg" od pierwszego strzału zniszczyli, ale, dostawszy potem drugie zadanie, wykonali je w żądanym czasie i ilości pocisków!

Zaczynamy kalkulować. Pierwsza bateria ma trafiony jeden cel, pozostałe obramowane, trzecia—też. A my rozbiliśmy dwa cele. Jesteśmy więc chyba—"w charakterze" najlepszej baterii dywizjonu?

Schodzimy z "placu boju," by po chwili zebrać się na omówienie wyników strzelań. Referuje nasz major, w obecności dowódcy korpusu i dowódcy dyonu.

—. . . a więc wszystkie działony w czasie od dwu do czterech minut, najwyżej w sześciu strzałach wykonały swe zadanie. Uważam wynik strzelania na wprost za dobry. . . .

Kiedy odjeżdżaliśmy ze stanowiska na dnie kotliny poligonu rozpoczynał się sabat czarownic. To "pepance" przystąpiły do strzelania pociskami zapalającymi. Doliną błyskawicami chodziły czerwone smugi, a potem pociski przebiwszy tarcze celu—odbitką od ziemi fosforowymi kulami skakały w górę, zataczały w powietrzu łuki, niekiedy raz jeszcze rekoszetowały, gasły, przepadały z oczu i waliły się gdzieś, jak stygnące meteory na szare pustkowia górskich bezdroży. . . .

"Big George"

Keep smiling, żołnierzu

Wojna może potrwać jeszcze kilka lat. O tym dobrze wiedzą Brytyjczycy. Wiedzą oni też, że nie łatwo wytrzymać żołnierzowi przez tak długi czas, bo życie jego jest bardzo monotonne i szare. Rozumni wyspiarze postanowili okrasić życie wojaków, oderwać ich od jednostajności, uczynić je bardziej urozmaiconym. I Szkoci także zrozumieli, gdy Wojsko Polskie przyszło do ich kraju, że trzeba je przygarnąć, jak braci, bo Polacy nie mają domu, są w trudniejszych warunkach, niż ich własne wojsko. Zaopiekowali się nami jak własną armią, a my czujemy się u nich jak u naszych najbliższych.

Naprawdę trzeba podziwiać ile serca i zapału wkładają Szkoci w pracę przy organizowaniu wszelkich kantyn, koncertów, imprez i t.p. postaram się opisać ich pracę w jednym ze skupień obozów polskich.

Kantyn jest dużo. Nie znaczy to jednak, by istniał tylko jeden typ ognisk żołnierskich, rozrzuconych po różnych obozach. O nie. Powstały one bądź z inicjatywy stowarzyszeń społecznych, bądź założone zostały przez osoby prywatne, ale każdy z organizatorów starał się włożyć w nie jak najwięcej indywidualności, własnej pracy, własnych pomysłów. Stąd ich różnorodność. Pewnego rodzaju grupę kantyn stanowią sklepy w namiotach obozowych, w których wszystko można dostać, począwszy od ciastka, a skończywszy na krawacie i papierze listowym. Oczywiście nie są one obliczone na zysk, tylko na wygodę żołnierza.

Kantyny należą przeważnie do stowarzyszenia "*Church of Scotland*," a sprzedający dokładają wszelkich starań, by dać żołnierzowi taki towar, któryby mu odpowiadał. Administrator takiej kantyny w jednym z obozów wpadł na pomysł, by sprzedawać gorące paszteciki w zimne dni i w ten sposó zwiększyć frekwencję. Inna kantyna nie chciała pozostać w tyle i już na drugi dzień rozlegała się w namiocie muzyka z płyt na prędce przywiezionego patefonu. Trzeci wpadł na pomysł, by do tarczy popularnej gry przyczepić pomarańcz. Kto przebił strzałą pomarańcz, mógł ją zjeść za darmo.

Drugą grupę stanowią świetlice w obozie. Tam żołnierz może spędzić każdą wolną chwilę, czytać pisma, grać w różnego rodzaju gry, pisać listy, słuchać radia, muzyki z płyt, i t.d. Szczególnie w dnie deszczowe, świetlica cieszy się wielkim powodzeniem. Panie polskie, które administrują świetlicą, dokładają wiele starań, by je utrzymać w porządku i rozszerzyć.

Zupełnie odmienne w charakterze są domy żołnierskie w mieście. Każdy z nas potrafi je sklasyfikować. N.p. w kantynie w C. są najlepsze ciastka (domowego wyrobu) i miłe dziewczynki, a najbardziej centralnie jest położona kantyna "Church of Scotland." Tam możemy spotkać wszystkich przyjaciół z innych obozów, tam należy wpaść o godz. 21, by posłuchać dziennika radiowego z Londynu, wreszcie tam można przekąsić kilka sandwichów, obmyć ręce, odświeżyć się. Wszyscy wiedzą, że to jest miejsce, gdzie rozgrywają się najbardziej pasjonujące partie gry w "kulki" i że w chwilach zupełnej nudy można zasiąść tam na wiele godzin, do układania "puzzli" w jeden obraz.

Najpopularniejszą osobą tej kantyny jest jej zarządzający, Szkot o nazwisku wybitnie francuskim, który bodaj ma najwięcej przyjaciół-Polaków ze wszystkich tutejszych mieszkańców. Pomaga on żołnierzom polskim, ilekroć się do niego zwracają, a u siebie w domu gości stale dwuch Polaków.

Inny nastrój ma "Dom Polski," utworzony przez jedną z najbardziej niestrudzonych pań szkockich. Jest to obszerna czytelnia, bogato zaopatrzona w książki i pisma angielskie, francuskie i polskie, dokąd zachodzimy, gdy łakniemy zupełnej ciszy. W tym domu powstaje większość listów do słodkich Szkotek, pisanych koślawą angielszczyzną, ale ze sercem gorącym i otwartym. Fundatorka tego domu stara się o ciągłe nowości i codziennie pomnaża się liczba książek na półkach biblioteki. Niedawno zawieszono w czytelni orła polskiego misternie wykonanego z cynfolii na czerwonym suknie. Pani domu zawieszając orła w obecności kilku Szkotów (którzy specjalnie przyszli go obejrzeć) była wyraźnie wzruszona i dumna z tego zdarzenia.

Ostatnio wprowadzono w Domu Polskim cotygodniowe imprezy urządzane przez Szkotów wespół z Polakami. Zapewne będzie Was śmieszyć—jak i mnie śmieszyło—że jeden z poważnych obywateli miasta, o siwiejących już wąsach, brał udział w kilku "sketchach," a miał w sobie tyle werwy i dowcipu, że nie jeden młody mu jej zazdrościł. Nie dość na tym: przebrał się on w suknię starej gospodyni, czarne pończochy, człapaki, ucharakteryzował się i cudownie zagrał rolę matki we farsie szkockiej. Wszystko po to, by rozweselić żołnierzy.

Naprawdę wzruszające chwile przeżyliśmy, gdy na tym samym przedstawieniu jedna z młodych, sympatycznych Szkotek, zaśpiewała nam polską ludową piosenkę. Śpiewała po polsku, a było w tym tyle zrozumienia, i charakter tej piosenki był tak doskonale oddany, że nie mogliśmy wyjść z podziwu.

To nie jest przypadek, że polskie orkiestry grają świetnie szkockie piosenki ("My Bonnie is over the ocean", "Loch Lomon" i inne) a Szkotki oddają wspaniale polskie pieśni ludowe. Wierzę, że łączą nas jakieś wspólne cechy duchowe, ułatwiające wzajemne zrozumienie.

Bezpłatne przedstawienia kinowe, występy Richarda Taubera dla polskich żołnierzy, otwarte drzwi szkockich "home'ów"—to wszystko praca i trud Szkotów, by uprzyjemnić nam życie, stworzyć namiastkę własnego domu, by uczynić znośniejszym czekanie na starcie z Niemcami, na chwilę, gdy będziemy mogli stworzyć sobie w naszym kraju nasze domy i odwdzięczyć się gościnnością polską za gościnność szkocką.

Minimax

Przegląd polityczny

Przysłowie tureckie mówi, że "nie trzeba narażać domu, dla szukania kury". Prasa w Angorze cytuje to powiedzenie, zapełniając swe szpalty artykułami z teatru wojny włosko—greckiej. Wiadomości z frontu brzmią co raz to gorzej dla faszystowskiego Rzymu. Wojska greckie znajdują się już w pobliżu Valony, najważniejszego portu Albanii, który odgrywa taką samą rolę nad cieśniną Otranto, jak Calais nad Kanałem La Manche: jest to nie tylko najważniejszy ośrodek komunikacyjny, ale również miasto, znajdujące się w najbliższym sąsiedztwie Włoch.

To, co przed dwoma miesiącami wydawało się fantazją, przekraczającą wszelkie granice logicznego rozumowania staje się faktem: Włosi są zagrożeni przez Greków do tego stopnia, że co raz to częściej mówi się o możliwości wyparcia wojsk Mussoliniego z Albanii, to jest w ogóle z półwyspu bałkańskiego. Gdyby te nadzieje nawet w części zdołały się urzeczywistnić polityczne znaczenie klęski włoskiej byłoby równoznacze z katastrofą faszyzmu i najdalej idącymi zmianami na półwyspie apenińskim.

Wojna grecka jest podobną niespodzianką dla świata, jak wojna fińsko-sowiecka: stanowi ona poważną kompromitację już drugiego systemu totalnego w Europie. Stosunek możliwości wojskowych włoskich w odniesieniu do Grecji przedstawiał się jak 10 do 1. Armia włoska rozporządzała na froncie albańskim zmotoryzowanymi dywizjami, silną artylerią, dobrym lotnictwem—i w ogóle olbrzymią przewagą zarówno liczebną jak i techniczną. Grecy posiadają wszystkiego 12 dywizji, których wyekwipowanie i nowoczesne zdolności bojowe, pozostawiały—nie jest to dla nikogo tajemnicą—bardzo dużo do życzenia. Prasa włoska miała wszelkie dane to twierdzenia, które głoszono zarówno na jej łamach, jak i przez radio, że Ateny zostaną zajęte w przeciągu jednego tygodnia. Tymczasem od czterech tygodni każdy dzień przynosi nowe wiadomości o co raz to większych klęskach Włoch faszystowskich.

Mussolini nie miał pierwotnie zamiaru wchodzić "jako decydujący czynnik" do wojny światowej. Podobnie jak Stalin, zdawał sobie sprawę z wewnętrznej słabości ustroju dyktatorskiego i niechęci społeczeństwa do wojny z Anglią. Gdy Niemcy byli pod Paryżem i politykom faszystowskim wydawało się, że koniec wojny jest bliski—postanowił Il Duce zagrać swoją kartę w pozornie bardzo łatwej partii. Wszedł do akcji, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, miała trwać bardzo krótko i skończyć się łatwym tryumfem nad śmiertelnie zranioną Francją. Z faktem, że sama W Brytania może podjąć dalszą walkę nikt w Rzymie się nie liczył. I wbrew swym najistotniejszym interesom, Włochy uwikłały się w wojnę, która przybiera dla nich co raz to gorszy obrót.

Wycofanie z niebezpiecznej awantury doradzał marszałek lotnictwa, Balbo. I z tego powodu musiał zginąć w wypadku samolotowym. Niechętnie odnosił się dównież do światoburczych planów faszyzmu marszałek Badoglio. Po niedawnym objeździe frontu albańskiego złożył bardzo dokładny raport o stanie i nastrojach armii włoskiej—i podał się do dymisji.

Marszałek Badoglio był interesującym typem rozmiłowanego w swym zawodzie oficera. Do zamachu stanu Mussoliniego odnosił się krytycznie. W czasie "Marszu na Rzym", kiedy ówcześni kierownicy nawy państwowej włoskiej potracili głowy, Badoglio udał się do króla, aby zameldować, że trzy bataliony piechoty wystarczą najzupełniej do obrony praworządności i rozproszenia całej "armii" faszystowskiej. Wiktor Emanuel III. obawiał się popularności swego kuzyna, ks. Aosty, który był kandydatem do korony, wysuwanym przez Mussoliniego, na wypadek oporu króla. Il Duce został wezwany do Rzymu, i król polecił mu formowanie rządu. Ale między generałem Badoglio a kandydatem na dyktatora, który "miał zawsze rację"—wyrosła ścianka lodu. Najzdolniejszemu wodzowi włoskiemu nie powierzano żadnych funkcyj, rezerwując wszystkie stanowiska dla krzykliwych zwolenników "nowego porządku rzeczy". Kiedy jednak wyprawa abisyńska przybierała co raz to gorszy obrót—po ustąpieniu niedołężnego de Bono zwrócono się do Badoglio z prośbą, by ratował bardzo groźną sytuację. I marszałek zdobył dla Mussoliniego Abisynię.

Jednakowoż ani Egiptu, ani Grecji zdobyć nie mógł, w ogóle był przeciwnikiem angażowania się Włoch po stronie Niemiec. Nie jest wykluczone, że podobnie jak Balbo, proponował wycofanie się Włoch z tej nieszczęśliwej wojny. I dlatego na jego miejsce przyszedł nowy naczelny wódz, gen. Cavallero, o którym tyle tylko wiadomo, że jest "najzupełniej oddany faszyzmowi oraz Mussoliniemu". Ma naprawiać błędy, do których przyznaje się już prasa faszystowska.

Nie wiadomo oczywiście, jak potoczą się dalej losy wojny włosko-greckiej i włosko-angielskiej. Ale dotychczasowy jej przebieg jest bardzo pocieszający właśnie przez to przekreślenie wszystkich, pozornie najbardziej logicznych obliczeń i przewidywań. Nieraz spotykamy się z zapytaniami, w jaki sposób możliwe jest swycięstwo na kontynencie europejskim, w które się wierzy, ale którego kontury są trudne do określenia. Otóż przykład Finlandii na początku a Grecji przy końcu 1940 wykazuje, że na kontynencie europejskim mogą zajść takie przemiany, które przekraczają wszystkie, najbardziej ustalone, przewidywania dalszego rozwoju wypadków politycznych. Gdyby w 1914 roku twierdził ktoś, że po kilku latach runą wszystkie trzy walczące ze sobą państwa—Austro-Węgry, Niemcy i Rosja—uważano by taką teorję za najbardziej dowolny wytwór wyobraźni. Tak samo dzisiaj nie możemy sobie zdać sprawy, jak ogromne istnieją możliwości najdalej idących przemian zarówno wojennych, jak i zewnętrzno-politycznych III-ej Rzeszy i faszystowskiej Italii. Dlatego też należy walczyć i ufać w zwycięski koniec walki, wierząc, że i lotem kul i losem narodów kierują nie Hitler czy Mussolini, ale Zbawca-Bóg.

Wypadki w Albanii zmieniły, a w każdym razie odwlokły plan ataku na Turcję. Możliwe również, że pewną rolę odegrało tu stanowisko Rosji, dla której okrążenie przez Niemcy od strony Kaukazu stanowiłoby duże niebezpieczeństwo. Stalin nie chce ryzykować wojny i idzie na duże nawet kompromisy z Hitlerem, ale Führer tak samo nie uważa za stosowne, by przedwcześnie zaczynać wielką grę rosyjską. I dlatego król Borys bułgarski mógł sobie jeszcze pozwolić na oświadczenie, że "dążeniem Bułgarii jest trzymanie się możliwie daleko od konfliktu europejskiego." W tej chwili wygrywa Bułgaria—prawdopodobnie pod wpływem Rosji—kartę neutralności. Ale pokój na wschodzie Bałkanów łączy się bardzo ściśle z wojną na ich zachodnich rubieżach, z tego też powodu wszystkie, najbardziej uroczyste deklaracje bałkańskich mężów stanu trzeba uważać za ty[...] czasowe.

Z Vichy, siedziby tego nieszczęsnego "rządu" francuskiego, przychodzą wiadomości o co raz to częstszych rokowaniach Lavala z agentami Hitlera. Odnosi się wrażenie, jakby Niemcy, nie dowierzając Włochom, chciały się asekurować od strony francuskiej. Innymi słowy, Berlin byłby bardzo szczęśliwy, gdyby na wypadek jakichś niespodziewanych zmian na półwyspie apenińskim—można było Italię Mussoliniego zastąpić Francją Pétaina. I stąd chwilowe, lecz dosyć silne kokietowanie Francuzów przez Führera i dalsza robota propagandowa, której ofiarą padają zawsze naiwni "mężowie opatrznościowi" oraz ich nieudolne rzą[...] Im częściej mówi się o załama[...] faszystowskich Włoch i przyłączeniu wszystkich posiadłości francuskich w Afryce do de Gaulle'a—tym barwniejszy obraz współpracy niemiecko-francuskiej rozsnuwa przed francuskimi słuchaczami niemieckie radio w Paryżu. Ale chwyty tej propagandy wywołują nad Sekwaną i Loarą wręcz przeciwną reakcję. Sytucja Niemiec nie tylko we Francji, ale we wszystkich, okupowanych obszarach—staje się co raz trudniejsza.

tk



("Time and Tide.")

Licha budowa.



("Time and Tide.")

(Laval do Hitlera): "Pozwól mnie teraz być Twoim Duce!"

Sztychem

O TRZECH PANACH

Był jeden, co do wojska miał od dziecka wstręty,
był inny—w polityce wyrabiał swe renty,
był trzeci—ten w obozie o świtaniu sinem
uganiał, jak się patrzy, z druhem-karabinem.
Pierwszy zrobił majątek, mówią—milionowy,
drugi tonął w zaszczytach, aż mu szły do głowy,
trzeci nie zyskał złota, lecz kiedy był siwy
i umarł, powiedziano:
—To Polak uczciwy!

CYTATA Z "PANA TADEUSZA"

. . . "Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis: Sagalas London à Bałabanówka.
Sławny tam mieszkał ślusarz, Polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił"

Objaśniać Mickiewicza? Nie potrzeba wcale!
Daj ci Bóg takie strzelby robić, Generale!

NOWY PAWEŁ I GAWEŁ

Hitler i Himmler w jednym stali domu:
Hitler—na górze, a Himmler—na dole.
Hitler hersztował zbójom do rozgromu,
Himmler w Gestapo wyprawiał swawole.
Aż kiedyś celna bomba, lecąc z góry,
Wtłamsiła obu do tej samej dziury.
I potem diabeł długo szukał w smole,
Który jest w górze, a który—na dole.

Antyk

KALENDARZ POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

Książka wiedzy o Polsce.

W objętości ponad 200 stron z przeszło 100 fotografiami, ilustracjami, mapami przyniesie:

najcenniejsze wyjątki z literatury polskiej od Reja, Paska, Mickiewicza, Słowackiego aż do Sienkiewicza, Żeromskiego i Tetmajera,

krótką historię Polski,

historię wojny wrześniowej,

kronikę obu okupacji,

kalendarz polityczny 1940 roku,

specjalny dział wojskowy, dane statystyczne, gospodarcze, wojenne.

Wśród fotografii znajdują się reprodukcje sławnych dzieł malarstwa polskiego z rzeczowymi tekstami, krótkie życio[...] dadzą czytelnikowi przegl[...] spraw ojczystych.

Widoki zabytków polskich i pejzaże przypomną rodzinne strony.

Kalendarz Polskiego Czerwonego Krzyża, książki wiedzy o Polsce można zamawiać już teraz w Polskim Czerwonym Krzyżu /3, Bentinck Street, London, W.1./

Cena w księgarniach 5 sh. dla wojskowych w obozach 3, 6 sh.

Na koszta opakowania i przesyłki dołączyć należy 8 d. w znaczkach pocztowych.

KOMUNIKAT

Komitet Organizacyjny Polskiego Wydziału lekarskiego w Edinburgh'u podaje do wiadomości zainteresowanych, że rozpoczęto starania o utworzenie z początkiem nowego roku kalendarzowego, polskiego Wydziału lekarskiego w Edinburgh'u.

Absolwenci, studenci medycyny Uniwersytetów polskich, którzy pragną kontynuować studia lekarskie, a którzy nie odbywają służby wojskowej, oraz maturzyści, którzy pragną je rozpocząć, zechcą zgłaszać, się listownie:

a/ na terenie Anglii do Polskiego Czerwonego Krzyża 3, Bentinck Street, London, W.1.

b/ na terenie Szkocji do: Prof. Dr. A. Jurasza, Barnton Hotel, Gramond Bridge.

Kandydaci winni podawać imię i nazwisko, wyznanie, uczelnię na której dotychczas studiowali, ilość zaliczonych lat studiów, odbyte egzaminy, etc. Termin zgłoszeń do 20 grudnia b.r.

Terminy wnoszenia podań oraz terminy zapisów zostaną w ogłoszone "Dzienniku Polskim" przez Dziekanat polskiego Wydziału Lekarskiego, z chwilą jego utworzenia.

Frank J. Ciejka, 1443 Boston Road, Bronx—New York, poszukuje brata Władysława Ciejkę /ostatni adres Consulat de Pologne 2, Place St. Ferreol 15, Marseille, France./

/Banknot dolarowy dołączony do listu w sprawie tego ogłoszenia przekazaliśmy na Fundusz Obrony Narodowej./

PP. Tadeusz Baykowski, Jakub Szulc, Czesław Straszewicz, Władysław Skłodowski i Tadeusz Rożniatowski proszeni są o przesłanie swoich adresów do redakcji "Polski Walczącej."

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—I cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.